

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**PIOTR KUNCEWICZ**

# **Dęby kapitołińskie**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Dochodzi południe. Słońce świeci dziś mocno, łatwo więc dostrzec godzinę. Pióro zegara rzuca wyraźny, zwarty cień na spękaną tarczę, na której cyfry nie są już całkiem czytelne. Trzeba będzie odnowić. Tłumaczono mi, że zegar nie jest dokładny, ponieważ obliczony został według cienia w Ostii, tu natomiast, w górach chłodnego Renu, myli się o jakąś godzinę. Niezupelnie to rozumiem i myślę, że to tylko pirrońska trudność. Przecież świeci nam to samo słońce, które co wieczór zapada za słupami Herkulesa. W mojej klepsydrze także nie ubyło piachu, od czasu gdy napełniono ją w latach panowania boskiego Caracalli sypkim nabrzeżem Tybru. Zegar jest zegarem, czy to mierzy osypywanie piasku, czy też bieg słońca. Nie widzę tu materii do roztrząsań.

W każdym razie jest ciepło. Rezygnuję z wilczej peleryny, którą uporczywie podaje mi Atesmerius. Decyduję się raczej na togę: w tym nie może mi niestety pomóc. Prawdę powiedziawszy i ja sam pocę się i męcę, ilekroć przyjdzie mi układać jej fałdy. Trwa to długo, a rezultat jest zawsze połowiczny. Ułożona na ręce zsuwa się z barków, a umocniona w obu miejscach – krzywi się na krawędzi, odsłaniając mnie prawie do połowy uda. Słoneczny dzień pozwala jednak na to obnażenie. W czwartek ofiara przypada Jowiszowi. Trzeba więc, abym się mu ukazał w szacie, którą wyniósł ponad inne.

Żałuję, że ofiara będzie dzisiaj tak skromna. Niestety, Atesmerius ma rację: owiec i bydła pozostało już bardzo niewiele. Podaje mi więc kure; jest to w każdym razie najdorodniejsza z tych, jakie widziałem rano w ogrodzie. Ptak wyrwa się i trzepie skrzydłami; przyciskam go mocniej owiniętym w sukno ramieniem, zostawia za to lepki ślad na krótszej, podniesionej pole materii. Atesmerius czyści plamę gorliwie, przysiągłbym jednak na Merkurego, że uśmiecha się pod swoim wielkim, opuszczonym w dół wąsem. Muszę udać, że tego nie widzę; inaczej musiałbym go ukarać albo wysłuchać jego pełnych zgorszenia upomnień. Wolę tego uniknąć. Nie należy zostawiać skazy na dniu dzisiejszym.

Mógłbym kazać Atesmeriusowi czy innemu niewolnikowi, żeby mi towarzyszył. Kura zabrudziłaby wtedy jego spodnie, nie brukając mojej szaty. Są to jednak chrześcijanie z dziada, a niektórzy nawet pradziada, od czterech, pięciu pokoleń. Wiem, że posłusznie stojąc za mną miotaliby równocześnie przekleństwa i wyzwiska. Po cóż Jowiszowi tacy wyznawcy? Zresztą ofiara jest moja; ludzie usłuchali rozkazu i zgromadzili jak zawsze stos suchych gałązek; reszta należy do mnie. Atesmerius przynosi mi jeszcze, nie wzywany, woreczek z kadzidłem; całkiem o tym zapomniałem i jestem mu wdzięczny. Nie mogę jednak tego okazać.

Nie jestem zupełnie pewny, czy moja ofiara odpowiada właściwemu rytuałowi. Waham się często i zmieniam obrządek. Przypuszczam jednak, że bogowie wybaczą mi tę nieporadność. W każdym razie żaden znak nie wskazuje, aby było inaczej. Są to bądź co bądź jedyne dymy ofiarne w całej kotlinie Gór Erydańskich. A może i w całej Galii. Wszędzie już zwyciężyła nieludzka nauka chrześcijan. Obalono ujmująco uśmiechnięte posągi Wenery, dobrotliwą Minerwę i zagniewanego Marsa. Zamiast nich można oglądać odrażające straszdyło zawieszane na sposób opryszka na skrzyżowanym drewnie. To wszystko, co nazywają teraz Regnum Francorum, to po większej części pustkowia, zrujnowane miasta i zarastające chwastami trakty. Po tym wszystkim zaś przeciągają bandy świeżo upieczonych chrześcijan, dorzynające zbożnie swych poprzedników w wierze. Wszystko to od czasu, gdy w roku mniej więcej tysiąc i dwieście, i pięćdziesiątym (któż teraz lata liczy) ab urbe condita Chlodwik odparłszy Alamanów zanurzył się z wdzięczności w sadzawce baptysterium. Zwycięstwo zawdzięczał rzekomo Chrystusowi. Równie dobrze mógł jednak otrzymać je od Marsa i złożyć mu w ofierze czarnego byka.

Wszystko to niezbyt mnie interesuje. W każdym razie nie mogę liczyć na zrozumienie ani wśród Franków, ani wśród własnej służby. Idę więc sam, z kurą trzepoczącą się pod ramie-

niem. Ołtarz jest niedaleko od willi, wśród starych dębów. Wygląda na to, że bogowie sami chronią je tutaj – wkoło na zboczu widzi się tylko jodły i buki. Tu zaś, wśród ich rosochatych i nagich jeszcze gałęzi, jest nawet niewielkie źródelko. Początkowo gubi się w oparzelisku wśród chwastów i półwodnych, barbarzyńskich roślin, nie znanych Pliniuszowi. Dopiero o kilkanaście kroków dalej jest mała sadzawka z nieruchomą wodą. Brodzą na jej powierzchni pająki o długich, cienkich nogach. Z jednej strony wypływa stąd wartki potoczek. Nie mogę pojąć, skąd się bierze, skoro woda w sadzawce jest nieruchoma. Nie zastanawiam się jednak nad tym zbyt uporczywie.

Źródło odwiedzam zawsze, ilekroć idę złożyć ofiarę. Nie wiem, czy należy się przedtem obmyć. Nie znalazłem nigdzie pewnych przepisów dotyczących rytualnych ablucji. Robię to jednak przewyciężając opór zsuwającej się z reguły togi. Gorzej jest z samą ofiarą. Tym razem kura nastrecza dodatkowych trudności; ptaki te czują z natury wstręt do żywiołu Neptuna. Na dodatek toga zsuwa się zupełnie rozpaczliwie.

Źródło ma wielką zaletę: widzę w nim swoją twarz, prawdziwą, dokładną, jedyną. Tu, wśród dębów, odnajduję jedyny pewny znak swojego istnienia. Oczywiście, i bez zwierciadła oglądam swoje dłonie o długich, szczupłych palcach, widzę też smukłe nogi, z lekko odsuniętym przez rzemień sandała dużym palcem. Oglądam dalej uda, ich mocne osadzenie i łagodną płaszczyznę ciemnych, kędzierzawych włosów aż po pępek. Już z pewną trudnością dostrzegam piersi z rozrzuconymi tu i ówdzie, rzadko raczej, włosami. Ale to już wszystko. Najważniejsze dostrzegam tylko w zwierciadle wody. Czarne, spadające z dwóch stron na uszy włosy, prosty nos, lekko wycięte usta. Podobam się sobie, jeśli dobrze się widzę. Nigdy nie jestem tego pewien. Zwierciadło wody jest tak nietrwałe! Stoi nieruchomo przez chwilę tylko, potem mąci je spadający żołądź lub liść, nieoczekiwany prąd czy też po prostu długonogi pająk. Odbicie łamie się nagle przez środek i rozbiega w strzępach dokoła. Czy można domagać się od wody trwałości polerowanego srebra?

A jednak właśnie zwierciadło domowe nie ukazuje mi nic prawie. Myślę, że nie jest starsze od źródła, a przecież srebro szerniało, zmatowiało i zgasło. Jest owalne, wklęsłe i stare, choć, powtarzam, nie starsze zapewne od źródła. Wypolerował je zręczny rzemieślnik w czasach Trajana, a może nawet Augusta. Gdzie – nie wiem. Może w samym Rzymie, a może w Hiszpanii czy nawet – nie wiadomo, śmiać się czy płakać – mogło powstać i w Argentoratum. Bo to także był Rzym. I odbijając czyjąkolwiek twarz po tej stronie Renu i Dunaju ukazywało twarz Rzymianina. Teraz nie ukazuje żadnej. Oglądam w nim tylko mdły kontur wypełniony szerniałym metalem. Jest tam jeszcze człowiek, ale już nie wiadomo jaki. Got, Frank, Herul czy Alaman zobaczą to samo. A więc i mnie zapewnić nie może, że nie jestem Wizygotem ani Swewem.

I ze źródła tylko, z jego nietrwałej powierzchni, spogląda Rzymianin, Claudius Egidius Postumus, wyznawca starych bogów, wnuk i siostrzeniec ostatnich Galii prokonsulów. W nim jest to wszystko, co kocham: Rzym, którego już nie ma, długie wieczorne recytacje Eneidy i gwar niewielkich rynków pod zielonymi platanami w Arelatum, Nemausus, Forum Julii. Są obłoki i ogromne niebo Imperium. Pochylam się, ustami wody dotykam, wszystko faluje i znika. Piję długą chwilę.

Rezygnuję ostatecznie z obmycia kury. Próbowałem początkowo zanurzyć ją, uwolniła jednak skrzydło i zaczęła młócić nim o wodę, zasypując mnie deszczem kropelek. Sądzę, że ogień oczyści ją dostatecznie. Podobnie jak i mnie we właściwym czasie. Na razie jednak sprawia mi wiele kłopotu. Nie mogę przyłapać tego przeklętego skrzydła, chwytam bezładnie obiema rękami i oto toga zsuwa się z ramion obnażając mnie niemal zupełnie. Kura zaplątała się w suknie, a bliskość wody doprowadza ją do szaleństwa. W rezultacie potykam się i ja o jakąś nieprzewidzianą fałdę i ostatecznie upadam prosto nosem w wodę. Gramolę się z niej wściekły, nagi, zaplątany w mokrą togę i wrzeszczącą przeraźliwie kurę.

I w tej właśnie chwili spostrzegam wśród dębów, tuż obok, chociaż za wodą, dziewczynę. Lekko wychylona śmieje się, ale jest i niepokój w tym śmiechu. Prostuję się, wypuszczam z dłoni sukno i nagi patrzę na nią bez śmiechu. Jej twarz także poważnie; patrzymy w milczeniu. Nie jest to żadna niewolnica ani służąca: zbyt wiele złota błyszczy w jej czerwonych, może nawet brązowych włosach, zbyt wiele klejnotów ma w uszach i na palcach, zbyt wiele jak na niewolnicę, ale także zbyt wiele jak na Rzymiankę. To barbarzynka, Frankonka. Stoi jeszcze, ale oto obraca się, zawija płaszczem i znika wśród dębów.

Patrzę jeszcze długo w tę stronę. Czy przyszła tu przejrzeć się w wodzie? Ach, mieli przecież po drodze tyle źródeł, tyle jezior i rzek, a przecież doszli aż tutaj i rozbili Imperium.

Toga jest mokra. Mimo to układam ją skrupulatnie na sobie, chociaż zrobiło się chłodniej. To przecież ledwie koniec marca, a i tak wiosna jest w tym roku wyjątkowo wczesna. Woda jednak powiedziała mi: jesteś Rzymianinem i masz złożyć ofiarę. Reszta jest nieistotna. Zmoczona i przyduszona kura już się nie szamocze. Pozwala mi więc spokojnie przejść te kilkadziesiąt kroków. Wszystko jest na miejscu. Duża płyta czerwonego kamienia, a na niej stos gałęzi. Czy powinienem najpierw rozpalić ogień, czy też zabić ptaka?

Przecinam jej szyję. Znowu się szamocze, ale już słabnie. Wydawała mi się dorodna, ale teraz widzę, że to chude, żalosne ptaszysko. Mokra cała, pióra zlepione wodą i krwią. Daruj, nic więcej dać ci nie mogę, panie Romy na siedmiu wzgórzach. Czy mój głos z dębów północy do marmurów Kapitolu dolatuje? Kapitolu, którego mi nie ujrzyć. Panie Eskwilinu i Palatynu, Awentynu i Kwirynału, Wiminalu i siódmego, którego nie pamiętam. Pokój sercu memu ześlij, jeżeli losu odmienić nie możesz. A właściwie pokój ten zachowaj. Lub też, słuchaj. Pokój to czy pustka jedynie? Nie wiem. Lecz ty wiesz, ty wiedzieć musisz. I wiesz także, co się z ziemią tą stanie. Ocal jej pokój.

Niestety, same nonsensy. Pokój tej ziemi? Chyba pokój cmentarzy? Ja nie bluźnię, to historia modlitwę niweczy. Kimże jesteś, Jowiszu, skoro wszystko minęło? Śmieszna wątpliwość. Jest mężem Junony, panem dębu i gromu, władcą Kapitolu. A ja po prostu składam ofiarę. Dopóki ją składam, nic jeszcze nie minęło na zawsze. Nie przystoi mi tylko chrześcijańskie zelanctwo. Ni prośby niestosowne. Ani wielosłowie. A los mój, jeśli to w ogóle ważne, powinienem odczytać z wątroby ofiarnego zwierzęcia. Jest tam zapisany, cały i nieomylony, tylko ja nie zawsze potrafię go odczytać. Jakże zwarte musi być pismo, aby los świata, tego świata, który na mnie się kończy, zmieścił się w maleńkiej wątrobie kury. Niegdyś płaty skopa albo wołu oglądano. Dziś być może i kury za duże, całą przyszłość świata zawrze bez trudu wątroba gołębia albo i wróbla zgoła. Frankowie zaś los swój zapisali w trzewiach Rzymianom wydartych.

Rozcinam ptaka. Wnętrznosci gładkie, czyste, wątroba natomiast jakaś rudawa i brązowa. Cóż to może oznaczać? Patrzę na nią z uwagą i nagle przypominam sobie włosy tej frankońskiej dziewczyny. Czy nawet tutaj muszą mnie prześladować ci barbarzyńcy, a do tego i chrześcijanie? Co za bezsensowne myśli zsyłają mi dzisiaj bogowie; skończmy z tym.

Przez wątrobę przebiega także czerwona żyłka, wygląda jak strzała, ale nie zmierza ku niczemu. Ginie po prostu, urywa się bezsensownie. Męczą mnie te daremne próby zrozumienia czegokolwiek. Czas już rozpalić ognisko i ogrzać się przy nim. Bogowie nie pragną wyrzeceń. To tylko my czasem chcemy żarłocznych bogów.

Wszystko to zapewne nie jest nazbyt okazałe. Pagórek, małe wzniesienie na wielkim, opadającym w dół zboczu, dęby i czerwonawa płyta z miejscowego kamienia. Brak jakiegokolwiek posągu. Ale też byłby z nim kłopot niemały. Kogo mianowicie miałby przedstawiać? Składam tu przecież ofiary wielu bogom: aby nikogo nie obrazić, trzeba by całego panteonu. Nie mówiąc już o tym, że nawet pojedynczy posąg mógłby spowodować znaczne kłopoty. I to z każdym rokiem rosnące. Ale to w końcu mało istotne. Misjonarze oczywiście nie omijają mnie bynajmniej. Przeciwnie, jestem dla nich obiektem wyjątkowo korzystnym. Odkąd ubyło w Galii czcicieli starych bogów, szermierze nowej wiary muszą odbywać kłopotliwe i nie-

bezpieczne wędrówki w poszukiwaniu chętnych adeptów. Nawrócenie Franków dodatkowo utrudniło zadanie. Trzeba by wędrować między Fryzów, Wenedów czy choćby pobliskich Alamanów, gdzie łatwo o męczeńską palmę, ale nierównie trudniej o nawróconych. Zamiast tego znacznie łatwiej zanudzać miejscowego „poganina”, skoro się taki uchował. Zresztą rzeczywiście mieszkam na wsi, ale co z tego? Taki braciszek-przybłęda uważa zazwyczaj, że wystarczy mnie nauczyć katechizmu, abym natychmiast wskoczył do święconej wody. Przychodzi więc mnie uświadomić, choć doprawdy jestem znacznie bardziej świadomy od niego samego. Także w tym, o czym nigdy nie śnił. I wiem, że znać to niekoniecznie chceć.

Ich misyjne wysiłki mają zawsze ten sam porządek. Atesmerius, zawsze nieoczekiwanie, wprowadza półgłówka, który już przygotował swoją lekcję, a zaczyna ją wzniośle: – Bracie! – Mówi mi: „Bracie!” Nie poczuwam się do żadnego braterstwa. Jest to z reguły rozpaczliwa hołota, jakiś eks-niewolnik albo syn kielbasiarza. Mówię mu to łagodnie i natychmiast wyrzucam za drzwi.

Inaczej nie można. Dyskusja czysto jałowa. Próbowiałem kilkakrotnie. Nie mogliśmy się wzajemnie zrozumieć, czy też może tylko on mnie nie pojmował. Mówi: „Chrystus jest miłością”, i chce bronić tej tezy. Lecz ja jej nie podważam. Odpowiadam, że jego miłość mnie nie dotyczy. Na to jednak spada na mnie grad dowodów, że Chrystus naprawdę wszystkich kocha. Że ta miłość jest nadzieją, przyszłością i przebaczeniem. Ale nie wyjaśniają, czemu właśnie ja mam jej pragnąć. Dla mnie jest to wyborem. A dla nich oczywistością. I tak z góry przyjmują, co dopiero udowodnić trzeba. A tymczasem to, że Chrystus jest miłością, jest mi równie obojętne, jak zaloty pajaków wodnych. Mnie ta miłość nie dotyczy. Jest z innego świata, podobnie jak całe jego królestwo. Ja zaś wchodząc doń przez niebiańską rzekę chrztu stałbym się kim innym. Wolę już w stosownym momencie przejść Letę niepamięci.

Mój świat jest tu. Między źródłem a ofiarnym ogniskiem. I nigdzie już więcej. Ogień wyraźniejszy teraz. Słońce od dawna za górą i wkrótce na dębach położy się zmrok i noc. Z całego światła świata zostanie tylko czerwień ogniska; tym jaśniejsza, że już ostatnia.

A potem odnajdę ciszę swego domu. Teraz trzaskają gałęzie w ogniu, a poprzez gałęzie w górze ciągnie już wieczorny powiew od Renu. Biegnie nad winnicami ponad równiną. Przychodzi codziennie ten sam, jak zawsze ten sam piach odmierza w klepsydrach jeden czas wszystkim, którzy słuchają jego szmeru. Frankowie jednak nie mają klepsydr; chrześcijanie zaś sądzą, że zegar ubliża wieczności. Więc mój tylko zegar odmierza czas całego świata.

Wieczór jest rdzawy. Na gałęziach zostało sporo zeszłorocznych liści, tylko w zasięgu ognia konary są nagie i czarne. Nad ogniem przepalony wzwyż tunel otwiera się na noc i gwiazdy. Ale teraz i to okno zamyka płomień. Jest tylko ta rdzawa, ruda kopuła, chyba właśnie taka jak włosy Frankonki. Skądże im ta czerwień? Czy wypełzli z nawianych wiatrem liści rosnąc wśród drzew, bezmyślne robactwo północy? Nie była jednak brzydka, to pewne. Wysoka i prosta. Nad wodą. Czy nie ujrzałem jej odbicia? Nie. Woda była zmacona, w bryzgach i kołach. Musiałem być śmieszny, sądzę. Ach, cóż mnie to obchodzi.

Tu jestem sam i ogrom bogów nade mną. Przesłonięty rdzawą fryzurą liści mówi do mnie trzaskiem gałęzi, szmerem ognia. Cztery są żywioły, a eter piąty. Dlaczego tylko w wodzie można się przejrzeć? Ziemię bezoką draży ślepy czerw, zbiega przed mrozem w głąb, wiosną powraca. Spasiony w trzewiach chrześcijanina. Ja wzlecę lekki jak sucha brzoza kora. Świat skończy się nad brzegiem Lety, w której ostatni raz rozpoznam swoją twarz.

Na razie jestem. Przy ogniu, wśród drzew. Wysztydziłby mnie Sokrates. „Bo i czegoś nauczę się od drzew?” Zapewne, miał rację. Miał nie tylko rację, ale także ateński, marmurowy rynek za sobą i siedem wieków świata przed sobą. Teraz świat potrwa jeszcze dwadzieścia, trzydzieści lat. A za mną? Frankowie i chrześcijanie. Czegoś mógłbym nauczyć się od nich?

Jeżeli woda mego źródła trwa nieporuszona, widzę w niej siebie. Widzę także kwiaty schylone nad wodą. I widzę drzewa i niebo. I gdyby nawet wyłoniła się zeń chimera albo Gorgona, dostrzegłbym ją także. Jak w tarczy Perseusza. Ale zmacona woda nie ukáže nicze-

go. Podobnie jest z ludźmi. Nie szukam ich, to prawda. Nie pytam ich o nowiny. Nie dlatego jednak, abym się przerażał wieści i prawd. Że znowu jakieś resztki miasta zwalono, ludność wyrżnięto. Czy nawet coś znacznie gorszego. Nie chcę po prostu informacji, które o niczym nie informują. Z tego, że wymordowano ludność Burdigalii, nie wynika, że zostawia ją w spokoju. Nie wynika też, że złupią ją ponownie. Z tego, że Chlodwik podbił Burgundię, nie wynika, że będzie w niej panował. Ani nic innego. Wolę zobaczyć w wodzie głowę Gorgony niż nie zobaczyć niczego.

Można przyjąć świat, który jest straszny, lecz spoisty. Nie można go przyjąć, jeśli jest tylko absurdalny. On jednak jest i straszny, i nedorzeczny zarazem. O cóż walczą te mnogie plemiona Wizygotów, Franków, Burgundów? Bezsens codziennych mordów, tygodniowych królestw, nieoczekiwanych koalicji jest tak oczywisty, że nikt nawet nie usiłuje dociekać jakichkolwiek reguł nim rządzących. Nawet wtedy, gdy już całkiem widomie waliło się cesarstwo, obraz był jaśniejszy. Zza granic, z nocy wypełzało robactwo i drażyło dzień rzymskiego pokoju. Gdzie się rodziło, nie wiedział nikt. I nie było to ważne. Trzeba je było tylko zgnieść i odeprzeć. I żadna cena nie była za wysoka. Po jednej stronie był żywioł, po drugiej Imperium. Zgwałcone, obalone, zdeptane, było przecież nadal miarą, jedyną miarą świata. Bo nie istnieją racje ni imiona żywiołu. Dlatego żywioł zawsze atakuje prawo, bo niszcząc je zdobywa kształt i miano.

Prawo to umiejętność rozdziału. Rządzić to klasyfikować. To ważne, a to nieistotne. To Rzymianin, a to barbarzyńca. Na całą wieczność. Reguła jest niezłomna i tylko ona stwarza świat i władzę.

Marny jest świat Franków. Te nieudolne przepisy, orzekające karę stu pięćdziesięciu su za wrzucenie do studni kobiety, trzydzieści pięć za wyrwanie palca, a trzy za nazwanie zającem – nie mają żadnej wspólnej podstawy ani związku. Między przepisem a przepisem czai się pusta, bezludna przestrzeń. Absurd i chaos. Tu można istnieć tylko od wypadku do wypadku; od wrzucenia do studni do wyrwania palca.

Inny jest mój świat. Gdziekolwiek był człowiek, było prawo. A gdzie było prawo, był Rzym. Nie ma miejsc pustych. Zawsze istniejesz w prawie, należysz do społeczeństwa, jesteś człowiekiem.

I masz obowiązki. Obowiązek to nie jest stosunek do człowieka, to stosunek do prawa. Obowiązek należał do Rzymu, nie ma go wśród Franków. Nie mam obowiązków wobec króla, miałbym je wobec królewskiego prawa. Ale to nie istnieje. Dlatego jedynym moim obowiązkiem jest ściśle składanie tej ofiary. I nic więcej. Ale też o tyle, o ile ją składam, jestem. Inaczej zanurzyłbym się w noc, w chaos, w ciemność. Jestem więc Rzymem i ostatnią miarą świata. Choćby on o tym nie wiedział. Zresztą gdyby wiedział, zmiażdżyłby mnie natychmiast.

Ogień już słabnie. Kopała rudej ciemności zniżyła się, świat widzialny zmałał. Ale i sukno podeszło, zatulałam się w nie szczelniej. Kim była ta dziewczyna? Po drugiej stronie wzgórza już od tygodnia hałasują siekiery. Król nadał te ziemie jednemu z leudów, graniczy teraz ze mną. Nie znam go, tego barbarzyńcy. Lecz zapewne poznam niedługo, niestety. I tak szczęśliwie uszanowano to, co mam, ex alode parentum. Ani mnie, ni tych resztek Chlodwik już nie tknął, nie obchodzi mnie czemu... Być może szanował pamięć Syagriusa, którego zarażał? Może ma jakieś inne cele. Nie wiem. To wszystko jest tak dalekie, jakby w świecie duchów. Rzeczywiste są tylko dęby; i ogień. I woda. Sowa lekkim lotem musnęła krąg światła. Zajaśniała na krawędzi świata. Wyciągam ręce do ognia, dorzucam jeszcze nieco gałęzi. Nic się nie stanie i nic mi nie trzeba. Mogę być sam, ich świat nie jest prawdziwy. Czyżby się już rozpoczął wielki pożar istnienia? Ogień oszczędził dotąd ten skrawek prawa i świata. A gdy i tę resztę obejmie pożoga, wszystko zginie i powróci nicłość.

Atesmerius czeka już z kolacją. Ma zapewne jakieś wieści o sąsiadach. Nie obchodzą mnie wcale, lecz ich nie uniknę. Nie zabronię mu opowiadać, bo mi to obojętne. Ciekawe jednak,



czy to była jakaś kuzynka sąsiada, czy ktoś ze służby? Miała dużo klejnotów, lecz w Galii było ich dosyć i dla niewolnic. Ktokolwiek po lesie się pęta, las do mnie należy. I źródło.

Czas wracać. Spędziłem samotny dzień. Samotny? Skądże. Było ze mną całe Imperium, grzał się przy ogniu Sulla i Cezar, i Septymiusz Sewer. Zziębłem jednak. Czy zziębli i oni? Biorę gruby konar, który tli się na końcu małym płomykiem. Na płycie został już tylko popiół i odrobina żaru, który wygląda jak czerwone, rozszerzające się i zwężające źrenice. Odwracam się i schodzę mocnym krokiem ze wzgórza. Tu ciemniej. I pochodnia w drodze przygasa. Przystaję i rozżarzona powiewem błyska znowu; jaśniej. I znów idę w głąb lasu.

Szum wiatru górą i szmer znad ziemi. To źródło; i woda rozmija się z powietrzem. Mówią osobno i osobno milczą o niczym. Podchodzę do sadzawki i klękam w miejscu, gdzie szamotałem się z kurą. Zostało z niej tylko trochę popiołu. Podnoszę pochodnię nad głowę i badam wodę. W niej cienie dębów i ciemna ludzka niewiadoma sylwetka. Podnoszę się i patrzę na drugi brzeg, gdzie stała dziewczyna. Ale tam także nie ma nikogo.

## 2

Ukośną miękką falą las zstępuje z Wogezów. Ciemne świerki, jaśniejsze nieco jodły, wśród nich miejscami kępy czerwonych buków. Widzę z tarasu, jak zachodzi na krańce równiny, spycha w dół opuszczone winnice.

Zepchnął je całkiem ze wzgórz i co roku sięga dalej. Głaz – przy którym ojciec czekał nadejścia Alamanów i gdzie spłonął potem – leżał wśród pól. Pamiętam, że drzewo na stos nosiliśmy dość daleko. Dziś po prostu wyrąbałbym zagajnik, który go otacza.

Poza tym mało się zmienia. Siedzę nawet na tej samej ławie, na którą wdrapywałem się prawie trzydzieści lat temu. Tylko ci, którzy przyglądali się temu z uśmiechem, już odeszli. Została mi w dziedzictwie willa, stary dom pełen obtłuczonych sprzętów. Nie ma tu chyba ani jednej rzeczy nowej. I nie będzie. Bo i skąd? Przechodzą czasem bizantyjskie albo nawet syryjskie karawany. Nie chcą jednak moich skór, miodu czy młodego wina. A złota ani srebra nie mam. Bo i cóż jest warta ta garstka denarów? Nie dostanę za nie alabastrowej amfory ani kolorowej szaty. Owszem, dostałbym krzyż w Jerozolimie święcony. Ale tego towaru ja z kolei nie pragnę.

Nie przyozdobię więc domu niczym nowym. Widok tej sterty nadłamanych, wyszczerbionych gratów zmusza mnie do uśmiechu. Są w nim przyjaźń i ironia zarazem. Nie wiem nawet, dlaczego tak jest. Ale właśnie jest tak. Niby drobna przywara starego przyjaciela, która nie razi, lecz bawi. Tu oto moje lary, tu ja, choć bez spadkobiercy. Jest trochę niewolnic, są młode dziewczęta wśród służby; nudna usługa sypialni. Lecz nie ma żadnej, którą przeniósłbym nad progiem mego domu. Nie widzę powodu, żeby wyświadczyć ten zaszczyt którejś, co i tak w progu sypialni na skinienie czeka. Nie ma ich zresztą tak wiele, ale za to wszystkie nudne nad podziw. Niewolnik buty mi czyści, niewolnica do łóżka się kładzie. Oto wszystko.

Co do sąsiadów, to jedni nie uszli Alamanom, inni zaś Frankom. Trzeba by szukać daleko. I oczywiście przenosząc którąkolwiek nad progiem wnosiłbym jej krzyż. Muszę jednak przyznać, że spotkana przed tygodniem dziewczyna niepokoi mnie trochę. Oczywiście, nie wchodzi w grę pod żadnym względem. Raz jako Frankonka, po wtóre jako chrześcijanka. Bo to chrześcijanie, niewątpliwie. Nie odwiedzili mnie dotychczas i nie wiem, czy to uczynią. Ale Atesmerius i służba zdążyli się już pokumać. Doniósł mi więc, nie pytany, że sąsiad, zwany Childebertem, zasłużył się wielce królowi w wyprawie po burgundzką Klotyldę. Znaczy to, że nie mniej zasłużył się i królowej. Znając jej pobożność i wpływ na Chlodwika, można dopowiedzieć resztę. Muszę więc być szczególnie spokojny i uprzejmy. Jeśli oczywiście chcę mieć trochę spokoju.

A to jest właśnie jedyna rzecz, jakiej pragnę. Nie pomnożę majątku. Nie będę bił pokłónów przed Frankami ani słał biskupów. Któż by się ubiegał o miejsce w stadzie wilków czy jeleni? Za to cenię sobie ten nieruchomy czas mojego świata. Chcę siedzieć na tym tarasie i patrzeć na las opadający spod willi, wznoszący się nad nią. Dolina i znowu wzniesienie. Na nim moje dęby. Dalej znowu dolina i posiadłości sąsiada, już stąd niewidoczne. Między drzewami, w dole, prawie przezroczyście mgiełki. Wyżej dzień chłodny, wysoki i czysty.

Wszystko się stało. Historii już nie ma, dzieje skończone, już tylko w pamięci istnieć mogą. I w mojej pamięci istnieją.

A któż poza mną pamięta na tej ziemi? A poza nią, cóż wiedzą cienie na Polach Elizejskich? Droga na łąki asfodelowe poprzez Letę prowadzi. Więc i tam nie ma już niczego. Jeśli odchodzi się z historii, to już na zawsze.

Na ziemi zaś z pozoru niewiele zostało. A naprawdę nikt zgoła. Kimże bowiem są ci, którzy przeżyli? Ludzie w sensie fizycznym tak, mają bowiem ręce i nogi, oczy i nosy. I to nie

wszyscy, co prawda. Poza tym jednak – spytaj człowieka na tej ziemi: kim jesteś? Nie Rzymianin to już ani Celt przecież. Wzruszy ramionami, odpowie: „Panie, mam pole w tamtej dolinie. A także chatę. I dobre wino mam, panie. A te grzyby i zwierzyzna to z lasu. Ja zaś niczyj jestem, bo Frank jeszcze nie nastał, zaś Burgund i Lombard, i Ostrogot już przepadli”.

Albo też: „Parafia moja u świętego Marcina”. Czy też może po prostu: „Chrześcijanin”. Czyli skąd? Może także „nie z tego świata”. Wynurzeni z chaosu, zanurzeni w absurd, wyrzuci z prawd i narodu, jak z chodaków i opończy. Czyż oni równie jak asfodelowe cienie są, jeśli pamięć minęła?

Nikt nie dojrzy samego siebie. Zobaczy pole, które orze i obsiewa, parafię, nikiedy pana. Ale w tym wszystkim nie on jest przecież. Pole, parafia i winnice są, lecz takim samym wysiłkiem i gestem mógłby uprawiać je kto inny. Tylko w zwierciadle historii znajdujemy siebie; i odwrotnie, ono tylko w pamięci ludzkiej się przegląda. Ogromne zwierciadło, jedyne, które ukazuje i stwarza. Rozbij je, a znikniesz.

Dlatego chcę trwać w milczeniu i spokoju. Czyli trwać po prostu. Bo ono już tylko we mnie. We mnie wchodzącym między dęby, rozniecającym ogień, przeglądającym się w źródle. I tu, na tej ławie siedzącym, także.

A z niej właśnie coś nowego teraz dostrzegam. Człowiek na wzgórza ramieniu. Niedaleko mych dębów przechodzi, lecz to nie mój niewolnik ani sługa. Zresztą jest jeszcze zbyt daleko i pewien nie jestem. Ktoś idzie, lecz kto – czy istotnie? Nikt, kogo bym czekał. Nikt. Czy na pewno? Czemu serce mi drgnęło i głośniej bije, i prędziej? Lecz to nie jest kobieta. Zresztą, cóż mi ta Frankonka? Nie wiem, lecz byle tknienie porusza struny niespokojne, niejasne. A więc spokój swój kłamię? No to kłamię. Spokój wart jest kłamstwa. Czym zresztą kłamstwo? Co ono znaczy i cóż na tym stoi? Kłamstwo to tylko inna prawda, ta prawda, którą świadomie stwarzam i strzegę. A więc ludzka tym bardziej, prawda człowieka, a nie natury. Czysta prawda, bez kłamstwa domieszki, to świat z fragmentów i odprysków nieskładnych. To bezład, bezsens, idiotyzm. Jakaż wielka idea, jakie mocarstwo stanęło kiedykolwiek na prawdzie? Prawda to bezład i bezprawie, kłamstwo zaś to ład, porządek, siła i sztandar narodów. A ostatecznie to tylko dwa różne imiona tego samego świata.

Nie, nie kobieta. I nie z mojego domu. Niski i przysadzisty człowieczek sady śmiesznymi susikami. Zabawny. Oczy wlepił wprost we mnie. Potknął się nawet. Nie, na Franka też nie wygląda. Więc kto i czego chce może? Lecz jest już wreszcie i zaraz przemówi. Tylko niechaj dech chwyci. Bo opluje mnie zdrowo.

– Witaj – mówi nareszcie.

– Witaj w imię Junony. Skąd się bierzesz, człowieczku?

Nie proszony na ławie zasiada. Zdrowo trzepnąłbym zuchwalca. Ale pokurcz to przecie i na błazna, trefnisia mi kroi. Dech mu się uspokaja, na mnie bystro spogląda.

– W imię Junony witasz... Panem jesteś tego domu?

– Jestem nim rzeczywiście. Czy do mnie zmierzałeś? Jeśli służby szukasz i pana, to żeś się omylił.

– Jestem już w służbie pana nad panami. Lecz ty mi powiedz, czym to imieniem raczyłeś mnie powitać.

Przygłupek oczywiście. Pewnie w służbie sąsiada, którego nad niebiosy wynosi. Chrześcijanin, zapewne. Bo któż by inny? Ale żeby imienia Junony, Kwiryków opiekunki, nie znał i nie słyszał, to na przygłupka nawet niezwyčajne.

– Jest taka jedna – mówię. – A ty skąd pochodzisz, że ci to imię niewiadome?

– Znam je – przerywa. – Ty mnie nie pojąłeś. Pytam, kim jest dla ciebie ta, którą przyzywasz?

– Czego ty chcesz właściwie? Czasu brak mi i ochoty na tę rozmowę. Służby nie szukasz, a ja jej nie mam. To czego chcesz?

– Żebyś mi o Junonie powiedział.

– Ty mi nawet swego imienia nie rzekłeś. Ale mniejsza o to. Junona jest dla mnie tym, czym była dla ojców moich i dziadów. I to wieki całe. Jest więc także ogniska domowego opiekunką, a pan jego z tobą rozmawia. Tobą Chrystus opiekuje się pewnie?

– A i tobą także.

– Skąd tobie do bogów? A może misjonarzem jesteś? Jeśli tak, to się dowiedz, że dla was są to niegościnnie i złe progi. Tak? Ciebie nie wyrzucę, bo mnie śmieszysz. Poza tym w herezję popadasz. Z pism waszych nie wynika, aby Chrystus poganami opiekował się. Chyba że sami o to proszą.

– Coś tam wiesz o naszej wierze. Lecz za mało. Może i dużo nawet. Lecz za mało. Ale ja z czym innym przychodzę. Czy pozwolisz mi usiąść?

– Siedzisz przecież.

– Przysiadłem tylko, by odpocząć. Teraz siedzieć mi pozwól.

– Aby mówić o Chrystusie?

– Nie, o Junonie. I o mojej sprawie.

– Siedz więc. Lecz mów raczej o sprawie. O Junonie, jak się zdaje, powiesz mi niewiele.

– Więc ty może więcej o niej powiesz?

– Żeby ciebie na opak nawrócić? Junona, mój człowieczku, to nie Chrystus i nie jest dla wszystkich. A może sądzisz naiwnie, że nic nie da się o niej powiedzieć? Prawda, przecież dla was bogowie to tylko imiona diabłów! Może chcesz się dowiedzieć po prostu, jak wymieniać i rządzić imionami demonów. I na cóż ci to? Chciałbyś jeszcze urosnąć i wypięknąć, boś dość szpetny?

– Lubisz żarty. Widać, Tertuliana i kilku innych autorów czytałeś. Ich znasz, a prawdy nie znasz.

– I nie pytam o nią. Ani prawda pokurcza, ani prawda ukrzyżowanego niewolnika mi niepotrzebne.

– Jest tylko jedna prawda.

– Prawd tyle, ilu żyjących.

– Jedna prawda i jedno prawo boże.

– Prawo? To co innego. Było rzeczywiście jedno. Ale było; ani boże, ani człowieka jakiego prawdy pilnujące. Jedno było, lecz o wielu imionach. Jeśli z tego cokolwiek pojmujesz, to ci powiem, że jedno z tych imion było „Rzym”, inne zaś „los”.

– A jeszcze innym przyjąłeś mnie tutaj?

– Lotnyś, widzę w ciele niepokąznym. A więc może pojąłeś już także, że nie warto nawracać mnie?

Mały człowieczek opuszcza oczy. Gdyby to był po prostu misjonarz, czasu tracić by mi się nie chciało. Ale pokurcz zabawny jest bardzo. Nędza chce o wieczności orzekać. I komiczny stąd kontrast powstaje, który także dwoiście przyjmuję. Dla człowieka mam uśmiech i kpinę, dla słów jego słowa własne i odmienne.

– Mylisz się, ty się mylisz! – nagle wykrzykuje.

– Co to znowu takiego? – chcę spytać, lecz on sobie przerwać nie daje.

– Twoje prawo jest martwe i ślepe. I jałowe, jak pole zimą. Co chcesz na nim uprawiać – śnieg? Płatki jak ziarna padają, ale jak ziarna nie wzejdą. Życie tylko w ciepłe miłości być może. Bez niej twoje prawo jest martwe. I bezsilne.

– Prawo jest miłości zaprzeczeniem. Ale tobie co do niej?

– A tobie co bez niej? Czyżbyś zaczął zabijać świat w swoim sercu?

– Są różne światy. O którym mówisz?

Przygasł i posmutniał. Żałośliwie przemawia.

– Żle, bardzo źle Chrystusa zrozumiałeś. Świat jest jeden tylko, choć wiele w nim się zdarza. Widzialne jest i niewidzialne. Są święci, są i potępieni.

– I ten sam świat był sześćset lat temu?

– Ten sam. To tylko jego prawda nie była znana ani prawo objawione.  
– No, a miłość? – pytam ze śmiechem.  
– Miłość jest wiekuista, lecz prawda jej teraz w pełni wiadoma. Chrystus jest miłością. A jego prawo to jej prawo właśnie.  
– Dobrze, już dobrze – mówię. – Szkoda czasu na tę rozmowę. Moje prawo bez miłości się obywa. Co więcej, bruździ mu ona. Jest niemądra i z żywiołu wyrasta.  
– To, co w tobie najgłębsze, także z niego pochodzi.  
– Tej prawdy słuchać nie chcę. I ty o niej zapomnij. Rychło rozum ci zmaćci, a słowa w drzazgi pójdą. I staniesz przed nierozumnym i nieznanym.  
– A więc stanę przed Bogiem – kończy z uśmiechem.  
– Stawaj sobie, ale beze mnie. Skończmy wreszcie tę gadaninę. I mów o swojej sprawie. A żywioł Boga tak długo potrwa jedynie, póki go nowa ziemską tarczą nie przesłoni: wasze, ludzkie, a nie boże prawo. I dość już o tym.

Cokolwiek stworzą, stworzą sobie i swoim. Ja do nich nie należę. I gdyby do nich przyszedł ktoś imieniem Klaudiusz, to nie ja będę. Dlatego właśnie siebie, trwania, życia broniąc muszę być twardy. Ten pokurcz chce mnie zabić. W miłość i żywioł mnie zaprasza, bym stopił się w nim i odhartował. Później chce mnie wyprowadzić na inny brzeg. Chcą w czasie snu zamienić świat za moimi plecami; nie dam się więc uspić. I cóż stąd, że prawdą lub fałszem to nazwiemy?

Mój gość wierci się i wykręca. Twardo mu widać. Przyjrzał się ławie, stuknął w nią i uszczypnął nawet.

– To dąb? – pyta.

Dąb. Jakież inne drzewo mogłoby tak twardo zwalić się w poprzek strugi czasu. Nie zgniło ani spróchniało; szerniało tylko czy zszarzało raczej. Zapewne, dąb. Tak myślę, choć to nie ja przecież ściałem go, ociosałem i położyłem tutaj. Ale właśnie dlatego jestem pewien, że to dąb, a nie inne drzewo. Mój gość także do tego ręki nie przyłożył, wiemy więc tyle samo. Lecz jemu brak wiedzy czasu. Mówię mu to z uśmiechem. Bogowie dobrą mi dali zabawę z pokurczem.

– Więc dąb jest najtrwalszy – mówi.

Tak, najtrwalszy w powietrzu, wodzie i pamięci. Trwa i powraca. Kiedy jeszcze Palatyn imienia nie miał, a na Kapitolu świątyń nie było, rosły tam krzepkie dęby Jowisza. Z nich, z ich gęstwiny wyszło miasto. I one w końcu zaszumią na ruinach. Ja, który słyszę milczenie końca, myślę o ciszy początku. Pamięć ludzka buduje mosty, które wolno niekiedy nazywać kłamstwem. Ale kłamstwem jest także samo nazywanie świata, gdyż w nagim istnieniu swoim jest on bezimienny.

– Dlatego właśnie przychodzę – mówi. – Sam przyznasz, że trudno o lepszy budulec. Chcę cię więc prosić, abys mi pozwolił wyciąć trochę twych dębów. Tych na wzgórzu. Chyba nie odmówisz?

O, pokurcz. Milczę, bo słowa nagle zbiegły mi gdzieś, wszystkie.

– Kim właściwie jesteś? – pytam wreszcie.

– Marcin. Nazywam się Marcin.

– Dobrze, jesteś Marcinem. Słuchaj więc...

– Nie – przerywa – to tylko moje imię.

– Tylko? Po co więc bliższą rzecz wymieniasz? Niech imię nas określa. Król jest królem, żebrak żebrakiem. Inaczej runie świat.

– Biedaku – żywo odpowiada – jak źle istnieje twój świat. Ale ja jestem księdzem. Tu zaś ze szlachetnym Childebertem przybyłem, by szerzyć światło wiary. Nie chcę cię jednak nużyć; nie teraz przynajmniej. O dębinę cię proszę.

– Jeżeli Childebert, szlachetny leud królewski, chce z niej własne gniazdo budować, to sam także pokwapić się może i do mnie drogę znaleźć.

– Childebert, miecz noszący po prawicy króla, chce zapachu żywicy. Dom swój z jodły buduje. O dębinę w innym celu cię proszę.

– Chcesz więc dom mieć mocniejszy niż twój pan? Czy żywicy nie lubisz?

– Moim panem jest Chrystus. Król i Childebert to jego ziemskie ramiona, które osłonią mnie, nie wątpię. Lecz istotnie, chcę domu mocniejszego od siedziby Childeberta.

Wiem już, o jaki dom idzie, i dalej nie pytam.

– Nie dam ci dębów – mówię krótko. Nie pyta, dlaczego.

– Część dąbrowy i tak do Childeberta należy – mówi z namysłem. – Jest tam wprawdzie dość stromo, z tamtej strony. Jakoś jednak damy sobie radę.

– Do Childeberta nie należy ani jedno drzewo – odpowiadam stanowczo. – Nie przeczę, za wzgórzem dział ziemi przebiega. Tamtą stronę trzymał kiedyś Arminiusz. Ale bywał tylko moim gościem w dąbrowie.

– Działy biegną wzgórzami zazwyczaj – mówi Marcin.

– Lecz tu było inaczej. Stare kopce są jeszcze na skraju. Nie widziałem ich dawno, lecz być muszą do dzisiaj.

– Żadnych kopców nie ma w naszej dolinie.

– Doliną Arminiusza idą wiosną potoki, przez które brnąłeś zapewne. Zresztą granic nie zakładałem ni ja, ni Arminiusz. W ziemię już prawie zapadły. Można je wszakże odnaleźć.

– A więc poszukamy.

– Pozwól, przybyszu, że ja sam wesprę wasz wzrok. Jutro, jeżeli zechcesz.

– Nie, nie jutro. Nie granice, lecz święto wielkie; święty tydzień obchodzić nam teraz przystoi.

– Obchodźcie je więc beze mnie i w milczeniu. Skądże jednak ten łoskot siekier po waszej stronie?

– Umilknie jutro. A ziemscy panowie, miecz nasz i tarcza, mogą dla swoich celów i święty dzień nadweryżyć. Gdyż i to na chwałę, wiary się obróci.

– Nie boisz się, że własną cnotę nadwątlą?

– Cóż stąd, skoro w dziesiątkach innych ją utrwala.

To zresztą mnie nie obchodzi. Wzywam natomiast niewolnika, by przyniósł dzbanek wina i kubki. Nie piłbym z misjonarzem. Lecz ten jest kimś więcej, jest wrogiem. Być może krzepi nas miłość, jeśli wiem o niej cokolwiek, ale określa nas nienawiść. Czy też wrogość po prostu. Miłość, jeśli wiem o niej cokolwiek, oznacza: ja będę tobą. Ja już tobą się staję. To chybota na samej granicy nieistnienia, jakby nadciągał sen, który jeszcze oglądasz i równocześnie w nim umierasz. To wrogość ocala nas i nazywa. Istnieje, bo jest mój wróg. Jestem jego odwróconym istnieniem, podobnie jak on jest tylko moim cieniem. Nie jest to oczywiście miara szczęścia, lecz któż mierzy szczęście istnieniem?

Lecz po co te rozmyślania? Ten kurdupel jest po to, abym o tym nie myślał. Między nami stoi już wino. Dziwne. Nigdy mnie nie raziła ta szcerba i ukośna rysa na krawędzi naczynia. Teraz jednak niemal odruchowo przesuwam ją w moją stronę. Lecz zanim pełen obrót się dokonał, czuję wstyd, znów nie bardzo wiem czemu, i gwałtownie dzban cały przesuwam. Marcin tego wszystkiego nie widzi. Kubek w dłoni trzyma i ogląda. Uszko na kształt nagiego amorka wyrobione, cały zaś winorośli pędem obwiedziony. Zwiślały zeń kiedyś grona pięknie wyrzeźbione. Ale z czasem odpadły. Ostatnie coś przed rokiem; leży pewnie w rupieciach. Teraz sterczą tylko puste, pozbawione owoców szypułki.

– To było kiedyś ładne – mówi Marcin. – Oczywiście, pogańskie nedorzeczności. – Patrzy na mnie. – Król dobrze nagradza swoich przyjaciół. Zwłaszcza jeśli pochodzą z krwi tak starej jak twoja.

– Ale żeby zostać królewskim przyjacielem?... – uśmiecham się, już spokojny.

– Tak. W przyjaźni i miłości jednoczy nas Bóg.

– A więc także następna karawana przejdzie obok.

– Twoja wola jedynie.

A więc wróg. I nie postać jego jest istotna. Trzeba na siebie zważać. I na prawdę swoją. Czymkolwiek jest, niech teraz prawdą się nazywa, a za oręż służy. Kiedy długo nie dochodzi do bitwy, miecz rdzewieje w ukryciu. A miecz, prawda i ojczyzna broniona – to ja sam. Czym jest człowiek bez tego, za co walczy? Czym wyrwany ze świata, który go stworzył? Człowiek i świat nawzajem się tworzą; jedyny człowiek i jego niepowtarzalna rzeczywistość. A oto wróg. Nie wolno w jego obliczu wątpić ani nawet myśleć za wiele. Swobodna myśl jest jak pancerz rozluźniony. Świadomość nie buduje niczego. Ona tylko rozsadza, osłabia i niweczy. Tylko ograniczona myśl wymierny świat obejmująca tworzy i zbawia. Dlatego bogowie są skończeni, można ich namalować i określić. Dlatego wokół naszej ciężkiej kuli obracają się podległe liczbom sfery. Chrześcijański Bóg to pułapka zamaskowana Chrystusem i czeredą świętych. Cóż się stanie, gdy pęknie pieczęć dosłownej wiary? Lecz mnie to nie dotyczy. Jesteś, Klaudiuszu. Teraz. Póki jest świat w twojej pamięci; póki ty w pamięci źródła jesteś. Odrzuć więc wątpliwości, rejestruj świat, licz przedmioty, zestawiaj kształty. Patrz na las i pamiętaj, że z drzew się składa. Wkrótce w ciepłe liście rozwiną. Wstanie słońce i osuszy potoki. Z ziemi wzniosą się ciemne pastorały paproci, przylaszczki wzejdą i wawrzynek zakwitnie. Tego człowieka czuć Bogiem i kobietą. Fałszywy, nieskończony Bóg, gorąca krew dziewczyny i ten pokurcz. Co za komitywa! Dobrze, sam do nich przyjdę. I cóż mi mogą uczynić?

Zjawia się Atesmerius z jakąś ścierką w sążnistej łapie. Ma to być ręcznik biesiadny. A więc wieczerza na stole. Pospieszył się coś dzisiaj. Myśli może, że ziarno nie padło tym razem na opokę. I nie chce, aby gość odszedł zbyt pośpiesznie. Nie mam mu tego za złe: jedyną bronią niewolnika jest spryt i myśl.

– Czy zjesz – uśmiecham się szeroko – ze mną, a ciągle w imię Junony, to, czym obdarzyła nas Ceres i Merkury?

I on śmieje się teraz. Śmiech to chyba przyjazny.

– Nie strasz mnie Junoną. Ty o Junonie, ja o Chrystusie, a chleb jeść i tak trzeba. Ale dzięki ci jednak. Muszę wracać do swoich, po budulec przyszedłem jedynie. A ciebie znalazłem. Pozwól służbie przyjść w święto na modlitwę. I oby twoje wino przemieniło się także. Bywaj.

I już go w dole widzę, wciąż dalej i dalej w śmiesznych susikach. Spłoszony zając w miękkim opadaniu wzgórz. I ruda dąbrowa wznosi się ku pierwszym gwiazdom. Słyszę, jak za mną sapie rozczarowany Atesmerius.

### 3

Ktoś biegnie między pniami. Poprzedza mnie, a może ściga. Nie podchodzi zbyt blisko. Szumi lekko po liściach, rozchyła gałęzie. A więc niech szemrze sobie po zeszłorocznej trawie, niech depecze pierwsze przylaszczki. Cóż mi do tego? Ktoś z ludzi Childeberta schadzkę sobie wyznaczył w dąbrowie. Frank i, oczywiście, jakaś moja celtycka dziewczyna. Albo odwrotnie. Zaskoczyłem ich pewnie, rozbiegli się i teraz gonią za sobą po lesie. Tylko czemu w pobliżu mnie? A może to dzieci tamtych, ciekawe, jak wygląda Rzymianin?

Kroki są lekkie, sylwetka prawie nieobecna. Jakby tylko cień pnia. Rudy od kory, liści i słońca. Mógłby to być dudek, dzięcioł, kita wiewiórcza lub sarna. I właśnie tak na początku myślałem: sarna. Bo może Jowisz zsyła mi w swoim gaju cud, nimfę lub driadę? Niestety, cuda są tylko u chrześcijan, my ich nie znamy. Chyba że z Owidiusza. To człowiek Childeberta, dziecko czy rzeczywiście sarna. Delikatna i krucha, pełna osobistego uroku.

Idę do źródła. Zostanę tam chwilę. Powietrze jest ciche, spojrzę więc z wody mocny i trwały. Zamiast patrzeć w nieobecne oblicze Boga, zobaczę smukłą czarnowłosą sylwetkę. To właśnie będzie i Bóg, i świat. Ja, w zupełnej osobności, ja. A przeze mnie wszystko, co było, jest i stanie się kiedykolwiek. Jeśli to właśnie ja i nikt nie podłożył wodzie cudzego wizerunku, to jakaż reszta byłaby możliwa? Zanim zejść ku dolinie Childeberta, chcę poznać, jak bardzo jest tylko cieniem.

Sarna znowu zabiegła mi drogę. Odrobinę z lewej. Zapewne, świat żywy jest tylko w źródle, lecz zasypiając wkraczamy także w krainę cieni. Skręcam ku gęstwinie na lewo. Nie słychać nic. I nie ma tu nikogo. Ale złamana gałąź kołysze się jeszcze na korze. Nie przechytrzę zwierzęcia? Odwracam się z godnością i odchodzę. Skrywszy się już za drzewa przyspieszam kroku. Biegnę niemal. Trzeba zatoczyć koło tak duże, aby do jego wnętrza nie dotarł nawet szmer. Zajdę ją całkiem od tyłu, skąd się mnie nie spodziewa. Staję wreszcie i odpoczywam chwilę. Nie chcę, aby mnie znów zobaczyła w nieładzie. To znaczy, nie chcę, aby mój głośny oddech spłoszył zwierzę. Bo to sarna na pewno, któż inny?

Skradam się wolno, łukiem. I docieram znów do gęstwiny, w której przedtem zniknęła sarenka. Przecinam ją na wskroś. I nie spotykam nikogo.

Jestem teraz na skraju małej podłużnej kotlinki czy wgłębienia. Oddaliłem się nieco od źródła i zanim tam zawrócę, chcę uporządkować trochę ubranie i odpocząć. Siadam na chwilę, tu dąbrowa się kończy. W dole rosną jodły. Ich ciemne stopnie schodzą od moich kolan w dół, do dna. Wśród nich krzewy; nabrzmiewają na nich pierwsze pąki. I leszczyna otwiera maleńkie rubinowe kielichy pod kitami żółtawych bazi. Będą z tego orzechy. A z nich nowe kity i rubiny.

Nie znoszę natury, teraz przynajmniej; jakże mogła zachwycać Horacego? Jak może uspokajać kogokolwiek? Ślepe koło toczące się do nikąd. Jakże byłaby potworna, gdyby nie obecność bogów. Jakże byłaby niepojęta, gdyby nie wąty cień człowieka. Nie wiem już sam, czemu myśl o nieustannym powrocie martwych zim i jałowych jesieni straszy mnie i smuci. Każda fala unosi nas wyżej na piasek. Jest wciąż żywa, bo nie liczy jednostek. A u nas każdy rachunek tylko wedle jednostki się sprawdza. Oczywiście, jeśli wliczamy do rachunku także nas samych.

W dębie piękny jest tylko cień, niewiadoma. Może kryć się w nim Jowisz, może lotna sarenka. Jeśli jeszcze liczymy na cokolwiek w naturze, to jest to niewiadoma. Jak niewiadomy jest człowiek. W nim także zawiane suchymi liśćmi czyhają wilcze doły natury. Nie zna ich tylko państwo i prawo. W nich ludzie umówili się, że poddadzą zmienny kaprys postanowio-



nej ludzkiej konieczności. Karcimy w sobie żywioł. I jego sprytnie zasłony: wolność i Boga. To znaczy ich Boga. Dlatego tępiliśmy go całe stulecia.

Na razie ciągle postukują siekiery. Niekiedy ich dźwięki zbiegają się w falę, jak dzwon dalekiego wiatru. To znów rozproszone i nieustanne, jak żaby w letnie wieczory. Właśnie; ludzka obecność imitująca bez ustanku żaby, zwierzęta, wiatr. Jedyne rodzaje, które ciągle na nowo przegląda się w zwierciadle materii. Inaczej my, inaczej Frankowie. Nasze sylwetki rozmijają się w przestrzeni, jedynie ciała spotykają się niekiedy.

I wszystko to nie ma znaczenia. Ale nie ma także znaczenia las ani obłoki, ani ptaki i gwiazdy. Wszystko to jest nieciekawe. Ale o czym innym mam myśleć, skoro w górze i w dole, dokądkolwiek pójść, jest tylko las, nieunikniony, jedyny i absurdalny? Są także jasne pola, na których niegdyś rosły winnice. Tam płoną nasze pogrzebowe stopy. Wstaję. Trzeba wreszcie dotrzeć do źródła. Kilka kroków do góry. I nagle znowu coś biegnie od najbliższego dębu. Staję nieruchomo. Teraz już dalej, niewiele zresztą, wzdyma się cień któregoś drzewa. Idę powoli w tę stronę. Cień pustoszeje. Biegnę i słyszę, że ktoś biegnie przede mną. Lżej i prędzej. Zdyszany ślizgam się na mchu i lekko wykręcam stopę. Siadam więc i oglądam ją uważnie. Chyba nic poważnego. Słyszę, jak z tyłu rośnie delikatny szelest, zbliża się i wreszcie staje tuż za mną. Udaję, że nic nie słyszałem. Patrzę, jak koło mojej stopy drepce pracowicie czerwona mrówka. Wyciągam nogę i gniotę ją sandałem. Gałęzie zaszeleściły znowu. Zrywam się niespodzianie i odwracam, skaczę i wpadam w płataninę gałęzi. Przedzieram się przez nie rozpaczliwie, znów biegnę, na przelaj, na oslep. Za sarną, człowiekiem, złudzeniem, ktokolwiek to jest, kto towarzyszy mi nieuchwytny przez ten nieunikniony las. Nie chcę, nie pozwolę na to. Jestem sam, byłem tu zawsze sam, jeśli nie liczyć niewidzialnych bogów. Znam cenę każdej myśli samotnej i każdego milczącego gestu. Niech żaden cień nie mąci rachunku, choćby w nim była tylko rozpacz i groza.

Kolana i myśli się płaczą. Potykam się raz i drugi, biegnę już wolniej, wreszcie zziąjany opieram się o najbliższy pień. Stoję tak chwilę, potem podnoszę głowę i bez żadnego sensu krzyczę: „Sarenko!” Rozglądam się przytomniej. Odbiegłem daleko. Siekiery ścichły za wzgórzem. Źródło wysoko na zboczu. Jeśli zawrócę do niego, przyjdę zbyt późno do Childeberta. Muszę na dziś zrezygnować ze zwierciadła. I tak stracę jeszcze nieco czasu. Muszę najpierw zejść po stromym stoku. Potem doliną w górę. Doliną Arminiusza nareszcie. Po drodze odnajdę kopce graniczne. Przynajmniej te, których nie rozmyły potoki.

Być może znów ktoś za mną podąża. Ale jestem na skraju urwiska i ostrożnie szukam zejścia. Wzgórze urywa się tu nagle i spada naga, niemal pionową ścianą. Trzymam się zetłanych, zeszlórocznych jeżyn i widłaków, wychylam się. Wtem łodygi pękają mi w dłoni, tracę oparcie i toczę się po zwirowisku i murawie. Nade mną wiruje w górze las, czarne pnie dębów wzlatują w niebo, zdaje mi się, że miga wśród nich sylwetka dziewczyny.

Upadek nie jest bolesny ani groźny. Toczę się wolniej, las nieruchomieje nade mną. Zatrzymuję się wreszcie. Wstaję i otrzepuję ubranie. Po chwili spoglądam wzwyż. Oczywiście nie ma nikogo. Idę krętą doliną, miejscami poszerzającą się znacznie. Nieodstępny las wokół niej górą.

Chodziłem tędy z Arminiuszem. To nieprawda, że umarli nie istnieją. Istnieje pamięć, być może chłodna i oddalająca nawet, ale istnieje. Ona czyni, że trwamy. Zjawiska mijają. Las, który przebiegłem, nie istnieje w tej chwili tak samo jak Arminiusz. A jeśli istnieje, to podobnie jak on w pamięci. Jeśli odwrócę głowę, to uwierzę, że idzie obok. Mogę do niego przemówić. I cóż, że będzie zwlekał z odpowiedzią?

Liczmy, segregujmy przedmioty. Zwierajmy w całość sytuacje. Podobnie jak w prawie są tu wszystkie możliwe wydarzenia, długi rząd imion czekających na rzeczy. Jak w źródle czeka cały świat na stworzenie. Ale prawdziwy mój świat już tam zatonął. Wyłania się z dna wtedy tylko, gdy stanę nad nim.

Te kopce są dla oczu Childeberta równie niedostrzegalne. Są to dlań jakiegokolwiek drobne pagórki, kamienie porośnięte mchem czy zasnute darnią kretowiska. I rzeczywiście, w ogóle, jeśli jakiegokolwiek w ogóle istnieją, są tym właśnie, czymkolwiek. Dopiero mój ludzki wzrok stwarza między nimi łączność, wyodrębnia, nazywa. Czy odnajdzie je za mną kto inny?

Jeszcze jeden zakręt. I następny. Wiosenne wody spłynęły zostawiając gdzieś pasma mułu. Spod nich splukana wodą zeszłoroczna trawa wygląda, jakby dopiero weszła. Ale na brzożach dopiero nabrzmiewają pąki. Rosną kępami na dnie. Wśród nich właśnie przed ostatnim zakrętem odnajduję jeszcze jeden kopiec. Jest tak niepozorny, że nie wzbudzi pewnie zaufania w Childebencie. Ale skoro zechce uwierzyć, że w ogóle istnieją jakieś kopce i granice, to czemuż by miał oponować? Mógłby także zaprzeczyć po prostu mojemu istnieniu i co więcej – dowieść, że ma rację.

Wszystko to mogłoby mnie ominąć. Ja z kolei mógłbym także, choć zupełnie inaczej, unieważnić Childebenta, Franków, zmierzch i rozpad przestrzeni. Od śmierci Arminiusza tak właśnie robiłem. Pozwalałem żyć jedynie tym, co minęli. Jak minął Arminiusz. Nie byłem przy tej śmierci i nie wiem, jak konał. Może rąbnęto go na odlew franciską i fala krwi bluznęła na pancerz? A może męczyli go długo, nagiego, obdartego z szat, skóry, z wydartymi pierścieniami, oczami i językiem. Co mu uczynili za ten pomysł i myśl szaleńca, aby w dziecięć koni ratować chwałę Imperium? Bo tak właśnie było. Nie liczył na zwycięstwo; nie chciał nawet chytrej partyzantki przelatującej od boru do boru, od wądołu do wądołu. Nie wierzył także w cuda pamięci. Ani w pomoc bogów. „Nie miał racji cesarz Julian – mówił – skarżąc się: «Jowiszu, czemuś mnie opuścił?» Nie przy nas stają bogowie, to my przy nich wytrwać musimy.” Przyznałem mu rację i do dziś przy niej stoję. Nie mogliśmy się tylko zgodzić, czym jest trwanie. „Trwać – mówił Arminiusz – to spełnić się w krwi i krzyku. Krzyku, który jak fala dotknie wysokie jaskółki. Oderwany już od ziemi, jak oszczep przebija eter i wielorakie sfery planet.”

– I dotrze do bogów? – spytałem.

– Nie, nie dotrze nigdzie. Gdyby dotarł, przestałby trwać. Trwanie to samotność głosu, nic więcej. Gdyby słyszeli nas bogowie, wszystko stałoby się snem. Lecz żaden bóg nas nie słucha i ciężar każdej bryły ziemi jest ostateczny.

Nie poszedłem za nim. I trwam inaczej. Inaczej też trwa to, co chciał zwielokrotnić, zamknąć w krzyku, gdy na czele garstki uderzył na zwycięską armię Chlodwika. I jestem ja. Czy nade mną ciągle jeszcze pruje przestrzeń oszczep jego krzyku?

Cóż więc myślał Arminiusz? Jeśli słyszą i tworzą nas bogowie, to natura jest łaską, a człowiek wspólnym snem natury i bogów. I kiedy obudzą nas wreszcie, okaże się, że wszystkie cierpienia i wysiłki były zbyteczne. A właściwie nie istniały wcale. Były tylko zabawą, okrutną lub obojętną, ale bez sensu, kary, nagrody i znaczenia. Jeżeli zaś nie ma bogów, to wszystko jest rzeczywiste. Jeśli nie istnieje jawa, sen spełnia się naprawdę. I nawet sen śniony we śnie, jeśli pierwszy sen nie istnieje. I także sen śniony we śnie snu, jeżeli stopnie innych snów prowadzących z głębi na rzeczywistość runą nagle jak jodły obalone lawiną. Zostaje tylko kępa na dnie w dolinie. I oto wszystkie lasy świata. Jeśli nie przebudzimy się do jawy albo innego snu, to kamień wyśniony w najgłębszym śnie snu na zawsze zachowa swoją kamienność. Jeśli więc dobrze rozumiem Arminiusza, chciał zginąć po to właśnie, aby istnieć.

Myślę, że były to desperackie pomysły. I niestety, mimo ostentacyjnej pogańskości Arminiusza, skażone chrześcijaństwem. Samo pragnienie trwania bez kresu wydaje mi się podejrzane. Trwa się do czasu, reszta jest fikcyjna. Za to trwa się w całości: z krzykiem, rękami, głową i w sandałach. No i w nienaruszonych granicach posiadłości. To właśnie teraz istotne. Nie poddałem się cieniom przyjaciela, zniosę i Childebenta. Jest doprawdy znacznie mniej rzeczywisty. Gdyby jego racje przeważyły, on rządziłby jawą. A mnie zostałby sen. Kamienie i kopce, drzewa i darń stałyby się przejrzyste, z każdą chwilą obracane w jasne powietrze.

Gdy przegrywamy, nasza jawa przemienia się w sen. Lecz czemu myślę o tym? Nie ma żadnej inwazji snów ani rudych cieniów w dąbrowie. Ja, tylko ja, nagi jak kość. I cóż mnie obchodzi reszta?

Dolina poszerza się. Las zstępuje ku niej zewsząd. I na jego skraju, wrzynająca się w zdeptyany gąszcz surowa struktura domu. Nie całkiem surowa nawet. Okienka zasnutę już błoną; jedno otwarte i przerzucony półpancerz na nim. A więc nie tworzą żadnej formy gotowej, ale martwej na początku, czekającej na życie i mieszkańców. Ten dom, jak drzewo, żyje każdym swoim fragmentem. Nie ma w tym ceremoniału, jest ekspansja rośliny.

Półpancerz znika gwałtownie. Drzwi otwierają się, wychodzi rząd tęgich pacholków. I drugi za nim. Między nimi pojawia się zwałisty, ryży, podsiwiały mężczyzna. Obok niego drepcze Marcin. Więc jednak ceremoniał. Idą powoli, dochodzą ledwie do krańca rzędów. Podchodzę bliżej, skłaniam dłoń, mówię, co powiedzieć trzeba. Nieco mniej dwornie, ale z powagą odpowiada rudy. Marcin uśmiecha się serdecznie.

Wchodzę do sieni, stamtąd do obszernej komory. Rzeczywiście pachnie żywicą. Wszystko tu nowe. Pojawia się wino. W nowych brzydkich naczyniach. Spoglądam na Marcina. Z dumą muska barbarzyńską emalię. Childeberty przyzywa kogoś jeszcze. Schylam się do Marcina i mówię: „Z tego żadne grona nie odpadną”, znów się uśmiecha i mówi: „Czas niszczenia i budowania jest tym samym”. Odpowiadam: „Sofizmat. Ktoś umiera i ktoś się rodzi. Lecz rodzi się inny”.

Childeberty rozwodzi się nad wspaniałością Chlodwika. Kiwam z powagą głową. Wyrzeka na niesfornych Alemanów. Nie mam nic przeciw temu. Mówi o sporach biskupów. Nic mnie to nie obchodzi. Marcin wtrąca się szybko. Na razie – mówi – ważne jest tylko światło wiary. Lampa jest nieistotna. Niech ich będzie jak najwięcej. On także, Childeberty, jest taką lampą. Jego nagroda w niebie. Childeberty żegna się nabożnie. Chce mi się nagle śmiać. Marcin patrzy na mnie z uwagą.

– A więc – mówi – szlachetny Klaudiusz utrzymuje, że władasz tu wszystkim, Childeberty, prócz dębów. Że dział biegnie inaczej, nie górą, lecz dołem. Twoim dołem, Childeberty.

Rudy przestaje się żegnać. Patrzy teraz na mnie i wiem, że komedia skończona.

– Jak powiadasz – pyta – biegnie ten dział między nami?

Tłumaczę mu więc, podchodzę do okna, wskazuję. Ale on prawie nie słucha.

– Mówisz o czym innym – powiada. – Ja pytam o dział, ty mówisz o kopcach.

– Cóż za różnica? – oponuję, choć domyślam się, o co idzie Childeberty. – Kopce są działem. Usypała je ta sama ręka, nie naniósł ich woda, nie zbudowały mrówki albo lisy. Są jednym, bo łączy je twardy rzemień myśli, tej samej, która dzieli nasze ziemie. Rudy zachnął się niechętnie.

– Czyj to niby rzemień tak je łączy? Twój, mój albo króla Chlodwika?

Udaję lekkie zdziwienie.

– Żartujesz, Childeberty. Kopce stawiał dziad mego dziada albo ktoś dawniej jeszcze. Stawiał je nie sam przy tym. Ale na mocy, z zachętą i poparciem prawa.

– Czyjego znów prawa?

– Prawa Imperium.

– Którego już nie ma.

– Czy nie wiesz, Childeberty, że bogowie istnieją dotąd, dokąd mają wyznawców? (Marcin skreślił się cały.) Z prawem jest właśnie tak samo.

– Nie pamiętam żadnego imperium – odpowiada rudy.

– Lecz ja je pamiętam, Childeberty. Zabij mnie, a zniszczysz prawo i dział. Kopce będą kretowiskami, ty zaś wytniesz dąbrowę.

Patrzy na mnie z uwagą. Marcin zrywa się, wyciąga rękę, otwiera usta, lecz zatrzymuje się w połowie drogi, rękę opuszcza i nie mówi nic. Childeberty patrzy na to kątem oka, po chwili spogląda na sufit, krzywi dolną wargę i wciąga głowę w ramiona.

– Przede wszystkim król polecił mi uszanować ciebie. Co prawda dotąd tylko, dokąd sam na to pozwolisz. Ale mniejsza z tym wszystkim! Kimże jednak ty sam jesteś: odosobniony, na nikim poza sobą samym nie oparty człowieku? Opierasz się na prawie, tak? Prawo zaś na tobie. Piękna zabawa. Brednie skończone. O prawie, granicach, imperiach nie decyduje pamięć ani jednostka. Liczy się tylko realny układ faktów. Opowiadkami o potędze Rzymu nie przesłonisz własnej słabości. Przeszłość nie istnieje, Klaudiuszu.

To tylko twoja przeszłość nie istnieje, sąsiedzie. Urodziłeś się dopiero co, kilka lat temu za ledwie...

– Jeśli nie mam przeszłości – twardo odpowiada Childebert – to w każdym razie pozostał mi miecz.

– Nie! – wykrzykuje teraz Marcin – został ci krzyż! Klaudiusz prawdę mówi, urodziłeś się dopiero w wodzie baptysterium. Ale urodziłeś się dla przyszłości, uciekając z płomieni szatana. Jego ostre pazury otaczały cię zewsząd, czekając tylko chwili, gdy pograżą się w twój brzuch i pośladki. Czekają cię wieczność, Childebercie. Nie tylko przeszłość, także i ta godzina jest złudzeniem. Jest tylko to, co się staje, a staje się naprawdę Bóg. Naprawdę, bo na zawsze. Klaudiuszu – zwraca się do mnie – czy nie rozumiesz całego szczęścia, które wynika ze słów: „ty będziesz”? Ty, a nie świat nawet.

– Nie istnieję bez świata, Marcinie – wtrącam.

– Nie protestuj, teraz nie pora. Odwiedzę cię pewnie. Childebercie, ty masz wieczność i krzyż. Ale masz także siekiere. Uderz nią, uderz nie w człowieka, ale w to rude uroczysko. Wystaw dom boży, dom twojej wieczności.

– Czy nie widzisz – przerywa mu zakłopotany i nadąsany jak chłopiec gospodarz – że zasłonił te dęby własnym ciałem?

A więc taki jest mój sąsiad, barbarzyńca. Spokojnie gwałtowny, sprytny, skłonny do prostych jak miecz rozwiązań. Mimo nabożnych gestów wieczność Marcina niezbyt go chyba zajmuje. Być może odrzucona przeszłość ciągle jeszcze nie chce go opuścić; zbyt gwałtownie na nią nastaje. I pojął sprawę inaczej niż Marcin – nie jest ważne, czy jakieś kopce w ogóle istnieją, istotne jest to, co mogą znaczyć. To jest słuszne, ale bardzo niewygodne. I niebezpieczne. Ale mam nad nim przewagę. A także nad Marcinem. Jestem chłodny i mówię „nie”. Proponuję więc, abyśmy wyszli je obejrzeć. Jeśli nawet prawo i myśl nim rządzące są wątpliwe, to jednak można dowieść ich regularności. Tłumaczę spokojnie, jakby nic innego nie miało znaczenia. Wstaję i zwracam się ku drzwiom. Ale Childebert odpowiada:

– Ach, nie musimy aż chodzić. – I zwracając się ku drzwiom w głębi komnaty woła: – Waltrauto!

I oto nagle źródło kruszy się i pęka, a wirowanie dębów zbliża gwałtownie ku moim oczom tę smukłą, sarnią sylwetkę dziewczyny. Ściany tego domu pachną żywicą. Widzę skrzynię wyłożoną błękitną emalią. Na jej wieko opada rąbek przybitego do ściany syryjskiego kobierca. Jego brzegiem biegnie złote pasmo, a słońce błyszczy na nim jak w smudze strumienia. A Childebert pyta ciepłym głosem:

– Czy widziałaś jakieś kopce w dolinie?

– Tak, ojciec – odpowiada Sarenka i patrzy na mnie smukła i prosta.

– To nasz sąsiad, Klaudiusz – wskazuje na mnie gospodarz.

Pochylam głowę i spoglądam na stopy Waltrauty.

– I skąd się tam wzięły? – pyta dalej Childebert.

– Ktoś je zbudował.

– Ktoś? Jakież ktoś? Ludzie, diabły, mrówki albo krety? Sam Klaudiusz mówi, że nie był przy tym. Mam więc czcić kretowisko, szanować ścieżki mrówek? Wszystko mi jedno – zwraca się ostro do mnie – kto je tam postawił. Ale mam dziecko. I cóż będzie, gdy zostawisz towarzyszką Klotyldy powie, że jej ojciec nie zbudował kościoła? Co powiedzą szlachetni leudowie? Pomyśl, pomyśl o tym, Klaudiuszu – dokończył groźnie.

Sarna nagle podchodzi tak, że staje między ojcem a mną. Chce w okno spojrzeć poza mną? Ku drzwiom się obraca? Za oknem, drzwiami dolina opada, w wąwóz się zmienia. Dęby jego brzegiem. Cień lotny wśród nich, w ich cieniu nieruchomym. Źródło nieruchome pośrodku, źródło rozłamane pode mną.

– Uspokój się, szlachetny Childebercie – powiadam – i pomyśl także przez chwilę. Na cóż ten dom chcesz wybudować? Żeby był mocny, Król polecił uszanować mnie – mówiłeś. Więc także wszystko, co moje. Słowo, drzewo i wolę. Przyjmij jednak radę. Czemuż właśnie z dębiny ten dom chcesz wybudować? Żeby był mocny, mówi Marcin. Dobrze. Będzie mocny. Ale mógłby być jeszcze mocniejszy. Wystaw go więc raczej z kamienia. Gdzie ma stanąć ten twój budynek, Marcinie?

– Na górze, wysoko.

– Na górze? A w górach bywałeś kiedy? Wiesz, jakie tu burze są latem? Ile piorunów bije po szczytach? Drewno pali się łatwo, wszystko jedno, czy dąb, czy jodła. A szczyt tej góry nazywa się Polem Ognia, słyszałeś o tym?

– Nie – przyznaje Marcin.

– O kamień w górach nietrudno. Nie jest za twardy, łatwo się łupie i wozić daleko nie trzeba.

Childebert ożywia się.

– On ma rację, Marcinie. – I podnosi jakieś inne zalety. Nic mnie to już nie obchodzi. Dęby ocaleją. Ochronię pokój źródła. I żaden łoskot siekier nie spłoszy sarny w dąbrowie.

Marcin ma wątpliwości. Childebert je rozprasza, wprost jakby przejął ją rolę. Zwraca się nawet o poparcie do córki. Wygląda teraz, jakby czekał tylko na tę propozycję. I to właśnie lekko mnie niepokoi. Ale ostatecznie... To przyszłości nie ma. Lub jeszcze nie ma, co dla mnie, tu, pośrodku tej komnaty, jest bez znaczenia. Ale i Marcin prawie już przystał. Pyta tylko:

– Gdzież mam szukać tego kamienia, Klaudiuszu?

Nie czekałem tego pytania. Myślę. Całe góry są kamienne, a ten się kłopotczy o parę garści! Lecz ma to być kamień łatwy i wybrany. I już wiem, gdzie go szukać.

– Gdyby nie jodły, sam byś zobaczył, Marcinie. Za nimi wyżej jest w tej dolinie czerwone urwisko. Tylko niewielka stromizna je oddala i tylko las je przesłania. Stamtąd weźmiesz ramienia, ile zechcesz. Bez trudu.

– Nie jestem pewien waszych gór ani lasu, ani dróg – odpowiada – zanim nie legną bezpiecznie w cieniu krzyża. Lecz cieszy mnie twój czysty zapał, Childebercie. Wystawmy więc Panu dom z kamienia. A ty nam wskaż drogę, Klaudiuszu.

– Sam ją odnajdziesz, Marcinie!

– Urwisk tu pewnie niemało. Odmówiłeś nam dębu, pokaż więc kamień najlepszy. I zrobimy to zaraz. Chyba że jesteś strudzony?

Jestem. Goniłem sarnę, prześladowały mnie echa. Ale chcę już mieć to za sobą. Childebert także nie odkłada sprawy. I w piątkę, bo dwóch pacholców jest z nami, idziemy ścieżką wśród jodeł. Ścieżka jest kręta. Wbiega zakosami wśród wiatrołomu, głązów i drzew. Coraz stromiej: przystajemy odpocząć. I znów ktoś niepochwytny towarzyszy mi tutaj. Coś szeleści i staje. Nie obejrzę się, nie pobiegnę. Nie jestem sam. Każdy mój gest trwa w ciężkim spojrzeniu towarzyszy.

Ktoś już drążył to zbocze; rwał i gubił czerwone głązy. Przysypała je ziemia, pokryła zielenią. Znam ten kamień, spiętrzony w nasze wille i miasta. Tak samo tu, u początku, jak i tam, u kresu, kruszy się jego ostry kontur. Śmierć nie nadchodzi od stóp, nie poczyna się od paznokci. Poraża chmurę, źródło i morze równocześnie. Umiera w locie kropla i wiotczeje ptak.

Przechodzę przez zwalisko. Marcin dogląda ludzi. Pilnuje, aby głęboko weszły kliny i dobrze napęczniały wodą. Zaraz nadejdzie, mały i zakurzony. Ogląda się jeszcze, spieszy, ku wszystkiemu zwrócony czołem. Głową schyloną, lecz twardą. Gdybym ją uznał za epokę, to wokół niej zatoczyłyby się kołowrotem czerwone kamieniołomy, dęby, góry i obłoki. Nie będę służył; i to on przemyka wśród nieporuszonych kamieni. Śpieszy i o radę kamieniarską zapyta. Ma dla mnie w zamian prawdy wiary. Wieczność za odrobinę nieporządku i chaosu. Za skruszony ułamek góry.

Drzewo jest posłuszne Frankom. Ochrzczono ręce, siekiery i las. Ale „pogańskie” gnaty Wogezów nawykły do starych bogów. Przybysze ruszyli tłumnie do dzieła, lecz dzieło pokracznie im wypadło. Czterokroć więcej wysiłku wkładali, aby bryłę wybrać i ociosać. Strapiiony Marcin pomocy żądał. Mój to przecież był projekt, aby ten „pogański”, „nieruchawy” kamień poruszyć. Nie odmówię pomocy. Drabiną głązu osłaniam źródło powtarzające mnie wśród dębów zatrzymanego czasu. A więc chodzę znów do kamieniołomu. Wstrzymuję sztydery uśmiech. Odnajduję szczeliny i nadaję kierunek klinom. Reszta już do mnie nie należy.

A dziś więcej nic czynić nie będę. Żegnam Marcina i odchodzę. Lecz ten, ludzi i kamienie opuszczając, towarzyszyć mi pragnie. Nie wzbraniam mu tego dzisiaj. Milczący gwar wiosny pochłonie milczące słowa. Marcin jak zwykle zatroskany. Czemuż to mnie obrał sobie za powiernika? Może dlatego właśnie, że nie jestem jego wystrzyżoną owieczką. Nie obciążam go swoimi grzechami, ale dlatego też ciągle wie o mnie niedużo. Wiele na tym nie traci, jak sądzę. Ja natomiast tracę niby zbawienie. Z przyjemnością mogę mu je przekazać, jeśli mu własnego za mało.

W tej właśnie sprawie drażni mnie nieco. Nieustannie zajmują go inni, ciągle zbawiałby kogoś, troskał się o cudze losy. Nie ufam zawodowym dobroczyńcom, chociaż pojąć ich mogę. Są to zapewne ludzie pychy niepowседневnej. Sądzą, że wszystko wokół do nich należy i oczekuje ich gospodarskiej dłoni. Lub może, że oni sami ze wszystkim, z innymi jedność stanowią.

Nie ganię pychy, jeśli uzasadniona. Czyż mógł nie być pyszny cesarz? Czy nie powinni być dumni konsulowie? Lecz byle pokurcz, w skrzyżowany patyk zapatrzony, cóż ma z nimi wspólnego? Wiem, Marcin odpowie, że dumny nie jest. A czyni tylko to, co słudze czynić przystoi. Przystoi zaś duma ze swego pana. I tak kółeczko się zamyka. W każdym razie Marcin wyrzeka na wszystko, co zagraża czystości wiary. Że na zachodzie arianie, na wschodzie ciemne lasy pogan i tu nawet, wśród ochrzczonych, nie za dobrze się dzieje.

Nie rozumiem. Gdybym wierzył w tak potężnego boga, to cała reszta byłaby igraszką. Cóż wreszcie mu przeszkadza, że lud wzywa Matki i niesie skromne ofiary Arduinnie? Marcin jednak inaczej na to spogląda. Jego to rzecz, a nie moja.

Teraz prowadzi mnie wzwyż, tam gdzie ma stanąć dom jego pana. Idziemy gładką drogą, która jak wszystkie trakty świata wiodła do Rzymu. Dziś, zerwana u kwiatu i u korzenia, jak witka powoju na wyrwanym ścianie kamieniu, posłuży tylko wozom jadącym niezbyt daleko. A także niezbyt długo, być może. Jak długo bowiem ostanie się ich rozchełstana żarłoczność? Szkoda, że ta niewielka parafraza Cicerona nie może powtórzyć „cierpliwości naszej”. Nie o

nią przecież rozkruszą się topory Franków. Choć i ten także wypadek rozważyć przystoi. Przecież to właśnie moja chytrość, moje zręczne kunktatorstwo ocala dąbrowę, zwierciadło minionego kapitolu. Ofiarujemy im kamień nieprzyjazny, twardy. Niech runie na ich głowy. Niech wybije ich wszystkich, wojowników i starców, dzieci i kobiety. Wszystkich? Wszystkich. Wszystkie? Czy wszystkie?

Cóż zresztą kościół, cóż ta garstka kamieni. Dom przecież dla ludzi, ludzi coś tam czyniących. Nic mi do tego. Cóż moja pomoc w tym wszystkim? Dom dla ludzi. Nie zbudowaliby go beze mnie. Ich mądrość sięga zaledwie wierzchołków drzew, które trzeba zrywać i połupać. Umieją wyprowadzić drogę pnia walącego się na leśny drobiazg, umieją odciąć gałęzie i okorować. Ale gdzie im do kamienia! Nie składali nigdy swojej sakwy wędrownej w cieniu murów wzniesionych przez siebie. W kamieniu ja prowadzę ich drogę ciesielską. Przeze mnie sięgają ku ceniom Vitruwiuszów... Lecz jeśli tak, to cóż ty i komu czynisz, Klaudiuszu?

Nie, nie czynię nic. Jeśli nie ja, to ktokolwiek inny. Mój wkład nie ma znaczenia; nie jest zły ani dobry też nie jest. Czy można powstrzymać lawinę? Przywali i poniesie, runie obok ukośnymi obłokami śniegu. Czyń albo nie czyń, historia cię ominie.

– Odnowimy te drogi – zapewnia Marcin. – Zapełnimy je ludźmi, którzy wyruszą wzwyż do Boga.

– Czy twój bóg umie jedynie kraść cudzą pracę? Na razie zrujnował Imperium. Schwyciliście złote jabłko i zgniło wam w dłoniach.

– To nie my – przeczy Marcin. – Co nam właściwie zarzucasz? Czyżbyś nie wiedział, że ciągnącym z lodowatego wschodu ludom nie patronował krzyż? Odwrotnie, to chrześcijaństwo przynosi im te ostatki, które pozostały z cesarstwa. Zapewne, nie jest to kult demonów, ale język prawdziwej wiary.

– Tak, chrześcijaństwo miało uratować Imperium, ale lekarstwo przemieniło się w truciznę. Dajmy już temu spokój, Marcinie.

Spór nie prowadzi do niczego, nie jest nawet sporem, lecz nieporozumieniem. Rzeczywistość jest przeciw mnie. Rzym upadł, Imperium nie istnieje. Istnieje za to chrześcijaństwo i ono niesie ze sobą okruchy tego, co minęło. Ale nie jestem wróblem, którego nakarmię okruchy! I nie mam zamiaru godzić się na coś dlatego, że jest to rzeczywiste! Zresztą – może przesadzam. Na ogół nikt mnie o zgodę nie pyta. Jak można zaprzeczyć, czy da się powiedzieć: „nie będę stary”, „nie umrę”?

Droga, ciągle gładka i stroma, skręca na lewo. Za zakrętem słychać jakieś pokrzykiwania. Zbliżamy się i widzimy uszkodzony wóz, bez jednego koła. To głąz stoczył się na pochyłości i spadając skruszył drewno. Teraz, wielki i masywny, worał się w kamienną powierzchnię drogi, rozbił i rozsunał kamienne kostki. Ludzie ciągną go z trudem, podkładają powrozy. Inni za wóz się biorą. Przystajemy; Marcin podbiega, opiekuje się wozem. Ni on, ni jego ludzie nie myślą o drodze. I ja bym o niej nie myślał w lepszych czasach.

Droga, podobnie jak dzban czy łoże, ma służyć. Jeśli się zniszcza, budujemy następne. Ale jeśli jest jak pożegnalny gest dłoni minionych czasów? Arminiusz krzyknąłby zapewne: „Poppaw drogę, hołoto. Burzysz dom, żeby chlew wybudować”. Ja nie krzyknę i tego. Po co? Do niewolników przemawia nie słowo, lecz kij. Jeśli nie możesz rozkazywać, nie proś, nie odzywaj się wcale. A zresztą drogi Rzymu miały służyć Rzymianom, a nie ich wrogom. Przytwierdzono na powrót koło i umocowano kamień na wozie. Mały orszak z karawaniarską powagą rusza naprzód. Istota tego wszystkiego jest mi obojętna. Być może liczy się to, że coś się w ogóle robi. A co z tego ostatecznie wyjdzie, to inna sprawa. I tak zawsze jesteśmy w drodze. Zbliżamy się lub oddalamy. Czasem w stwardniałym mule zostanie ślad stopy. Lecz któż spogląda wstecz ku własnym śladom?

– Czy nie rozumiesz – zaczyna znów Marcin – że chrześcijaństwo nie jest jeszcze jedną

ludzką niedorzecznością, jakich wiele bywało? Ono sponad ludzkich głów, z nieba pochodzi. I dlatego połączy kiedyś ludzi w jedną rodzinę. Chrystus przyniósł na świat równość i pojednanie. Czy cię to nie porusza, Klaudiuszu?

– Ależ ja w to nie wierzę, Marcinie. A nawet gdybym wierzył, nie pociągałoby mnie wcale. Nie pragnę świata równych ani pojednanych. Niech istnieje miejsce i pana i miejsce sługi. I niech nawet sługa staje się panem i swoje sługi miewa. Bo tylko taki świat, świat obcych i nierównych, jest wart istnienia. Tylko w tym świecie jestem sobą, jestem naprawdę. Dlatego nie chcę miejsca w anielskim chórze.

– Nawet gdyby upokorzono ciebie, nie tęskniłbyś do równości?

– Do równości z tym, kto mnie upokorzył? Szalejesz chyba. Ponizeni nie pragną równości, lecz wywyższenia. Czyż nie pojmujesz, że gdzie nie ma dolin, nie powstaną i góry? Najważniejsze zaś: na ziemi nic się nie ziści. Jak nie ziściło się dotąd. A nieba, powtarzam, nie pragnę.

– Dobrze, trzymajmy się ziemi. I owszem trzymajmy się, bo mylisz się tu podwójnie. Lekceważysz chrześcijaństwo, bo nie jest z tego świata. I lekceważysz innych sądząc, że poprzestaniesz na sobie. Rozwieję twoje złudzenie.

– Nie pragnę rozwiewania złudzeń.

– To cię uzdrowi.

– Nie pragnę więc uzdrowienia.

– Bo nie pojmujesz własnej słabości i choroby.

– Przecież właśnie jej pojąć nie chcę.

– Jesteś uparty. Taki upór wolno jednak nawet siłą przełamać. Słuchaj więc...

– Głosem na puszczy nazywacie takie mówienie.

– Jeśli puszcza nie usłucha, głos pozostanie.

– Dziwne, słyszałem to kiedyś.

– Tym bardziej posłuchaj echa. Childebert za nic miał twoje prawo. I nie mylił się wcale. Twoje prawo do twojego świata należy, on zaś w nicości się pograżył. Chrześcijaństwo z wysoka przychodzi, lecz o prawach nizin orzeka. Przecież i sam rozumiesz chyba, że nikt twego minionego świata nie zniweczył. Ni barbarzyńcy, ani chrześcijanie. On mocą własną przepalił się i runął. Zabrakło już w nim nadziei. Jeśli skądkolwiek nadejdzie nowa, to z zewnątrz tylko. Mylisz się sądząc, że Roma dzieliła ludzi; łączyła ich raczej. Ale wszystko poszło w rozsypkę. Co możesz chrześcijaństwu przeciwstawić? Nic zgoła. Jeśli kto, to ono tylko wybuduje nowy świat. Nie znam go, nie wiem, jaki będzie. Wiem tylko, jaki być powinien. Jedno jest pewne: on ludzi połączy. Pchnie ich ku nowym wysokościami. Nawet od swego odstąpię; przyjmę, że także minie. Lecz cóż stąd?

– Ten świat jest twój, a nie mój, Marcinie. Niech rośnie czy mija, cóż z tego.

– To błąd twój drugi. Chcesz zamknąć się w sobie wsparty na sfalszowanej przeszłości. A fałszujesz ją przecież sądząc, że była tylko spełnieniem doskonałych wzorów. Nieprawda to przecie. Przeszłość była nie czym innym, jak walką. Ustawicznym przełomem, dialogiem racji i sił przemienianych bez ustanku. Lecz i to pozostawmy. Kim jednak jesteś, w sobie zamknięty, bezużyteczny dla innych? Nędzarzu karmiący się cieniami, dla których jesteś niepotrzebny. I rozumem nic tu nie wymyślisz ani wskórasz. Jeśli cię nie porwie ku innym siła łamiąca pęta kalekiego rozumu, przepadłeś. Urzędnik Rzymu służył, urzędnik Kościoła służy także. Jeden służył ziemi, drugi wieczności; lecz służyli obaj. A ty jesteś jałowy jak ostatnie grono szczepu.

– Odrzucam miłość, tę twoją siłę ku innym, jeśli mnie niszczy pierwszego. I nienawidzę jej, i jeśli posłuchać chcesz, boję się także.

– Miłość zbuduje cię na nowo.

– Ona mnie zniszczy.

– Zniszczy może tylko twój dzień dzisiejszy dla dni, które nadejdą.



Szalony, po trzykroć szalony. Tylko ten dzień ma rację. Dla niego wszystkie dni ku jednemu zmierzają, bo życie jest chwilą, lecz jedną z chwil całej wieczności. A moja wieczność tu tylko. I czemu o miłości przemawia? Jeśli kochać mogę, to przecież nie jego cudaka z Golgoty. Ale miłości jakiegokolwiek nie chcę i odrzekam się. Kamień kamieniem, liść liściem, a ja niech sobą pozostanę. I cóż, że nie kochając pono nic nie uczynię. Cóż wszakże mógłbym uczynić? Ocieram z czoła pot i milczę.

– Nie wejdę do twoich przybytków, Marcinie – odzywam się wreszcie. – Ktoś musi pilnować płomienia, nawet jeśli ogień zgaśnie z nim razem.

Przystajemy na chwilę, droga jest stroma, a dzień gorący. Za nami, niżej skrzypią koła, nawołują się wozy. Siadam na pniu zarosłym bujną paprocią. Siada także i Marcin. Patrzymy na ciemne świerki przetykane plamami światła. Kto zwycięży w tym pojedynku – wozy czy las? Wydaje mi się, że jednak las. Nikt go jeszcze nigdy nie pokonał, tym mniej może to uczynić chrześcijaństwo. Być może, mimo wielkiego hałasu, jaki czyni, i ono samo ma się już ku schyłkowi. Jest przecież rozbite, skłócone, a przy tym zawile i prymitywne równocześnie.

Oczywiście dla tych, którzy nie umieją obyć się bez nadziei, może przedstawiać sobą jakąś wartość. To jednak nie decyduje przecież o jego trwałości. Mogę rozmyślać o tym całkiem beznamyślnie – obie te siły są mi obojętne. Wprawdzie chrześcijanie są ludźmi, ale ludźmi obcymi. Nasze podobieństwo fizyczne jest jeszcze mało istotne. Człowiek jest stworzony przez historię – ale tylko swoją historię. Chrześcijanie usiłują wprawdzie uchodzić za spadkobierców śródziemnomorza, w istocie jednak biorą zeń tylko cząstkę, odkształcając ją i naginając do swoich potrzeb.

Siadłem nie tylko po to, by odpocząć. Tam nieco wyżej, na Polu Ognia, oczyszczono już plac i wydrążono doły pod fundamenty. Dziś legną w nich chyba pierwsze kamienie. Myślę, że nie obejdzie się bez jakiejś, niewielkiej może, uroczystości. A stąd zapewne przyjdą i miododawcy Marcina, Childebert, i nie bez córki zapewne. Oczywiście nie czekają na nas; Marcin zadbał o to, by wyjść dostatecznie wcześniej. Chcę jednak swobodnie, nie w obliczu chrześcijańskich świętości pomyśleć. Dlaczego tu właśnie przychodzę?

Z pozoru, po to jedynie, aby przejrzeć się budowie, spojrzeć okiem niby to projektodawcy na te jamy i kamienie. Okiem projektodawcy czy sąsiada? I jedno kłamstwo, i drugie. Powiedzmy sobie wyraźnie i bez niedomówień: interesuje mnie ta dziewczyna, córka Childeberta. To dla niej w istocie rzeczy przychodzę do kamieniołomu, rozmawiam z sąsiadem. Nie wiem, czy ją Kocham, i nie usiłuję tego roztrząsać. Może dlatego, że odpowiedź pozytywna stawiałaby mnie w trudnej sytuacji. Pragnę ją po prostu widzieć, chociaż widząc ją gubię się nieco i słabnę.

Czemu mnie pociąga? Może dlatego, że widziała mnie nagiego, borykającego się z głupią kurą. Może dlatego, że odpowiedź pozytywna stawiałaby mnie w trudnej sytuacji. Ale przyuczyny nie mają znaczenia. Ważna jest sama sytuacja – istotnie nieco kłopotliwa.

Marcin patrzy na słońce i chce dreptać dalej. Ale mnie się nie śpieszy. Rozumiem, że nie chce, aby Childebert – jeśli przyjdzie tu rzeczywiście – na nas czekał. Ja jednak nie chcę także czekać na niego. Stąd ociągam się i zwlekam. W końcu trzeba ruszyć dalej. Marcin znowu coś mówi, ale nie staram się słuchać. Być może, ten pokurcz pojmuje moje pragnienie i wie, co jest dla mnie przynętą. Tym bardziej muszę uważać.

Wchodzimy wzwyż i słońce wznosi się nad nami. Wychodzimy nad kamienisty obryw, ku któremu spoglądam często ze swojej willi. Stąd widać ją także; niedaleko od niej dąbrowa, za nią dolina Arminiusza zamknięta na w pół wzniesionym domem Childeberta. Nad nim znów przetarta teraz ścieżka biegnie do kamieniołomu, przecina starą drogę i ginie w świerkach. Wynurza się dopiero nad obrywem, po drugiej stronie polany.

Tutaj zaś ludzie. Na polanie wydrążono jamę pod fundamenty, obok złożono stos głazów,

Childebert bardzo się spieszy. Posłano na południe po muratora. W Lugdunum go szukają. Nie będzie to ogromna budowla, ale na cóż komu ogromy w kraju, gdzie coraz łatwiej o wilka niż człowieka?

Trochę goryczy. U siebie, we własnym kraju, staje się obcym. Ale tak trzeba i tak być musi. Czyż miałbym być „swoim” dla wrogów i przybyszów? Przeciwnie więc, muszę tę obcość utrzymać i ugruntować. Muszę zachować spokój – i to za każdą cenę.

I oto już, i oto już jakże trudno go zachować! Spośród pni, znad obrywu wychodzą pierwsi pachołkowie Childeberta. Któż nadejdzie za nimi? Tak, oczywiście Childebert z córką. Childebert zdyszany, Waltrauta lekka i smukła. Nie znać po niej śladu zmęczenia. Za nimi, nieważna, reszta towarzyszy. Kątem oka widzi wśród nich spętanego mężczyznę.

Czemu to Childebert z córką się wodzi? Nie po to przecież, by mi zrobić przyjemność. Rozumiem, że rozrywek tu niewiele, czy jednak mieszanie się do męskich spraw jest dla dziewczyny zajęciem odpowiednim? Wątpię, aby takie było zdanie Childeberta. Skądinąd Waltrauta przy wszystkich pozorach posłuszeństwa i uległości na najbardziej uległą nie wygląda. Najpewniej chodzi z ojcem dlatego, bo sama tego pragnie. Czy wiedziała, że i ja będę tutaj? Wiedziała. Nie przypadek to sprawia, że widzę ją tak często przy kamieniołomach. Milczy najczęściej; w ziemię lub ku innym spogląda. Czasem tylko odrzuci głowę i spojrzy na mnie, jakby słońce rozblęzło.

A teraz, gdy Childebert do nas podchodzi, Waltrauta staje i powoli się odwraca. Do Childeberta idę, a za nią patrzę. Zbliża się do związanego mężczyzny. Staje przed nim. Ten zatrzymuje się, ale zaraz popchnięty idzie dalej. Waltrauta wciąż na niego patrzy, a ja czuję, jak wysychają mi usta. Ledwie wymówić mogę słowa powitania. Obchodzę z Childebertem i Marcinem wykop – droga to niedaleka. Ni jeden, ni drugi, ani ja na dobrą sprawę – nie znamy się na tym. Ja zresztą więcej ku Waltraucie niż ku dołowi spoglądam. A Marcin z coraz widoczniejszym i mniej skrywanym niepokojem na skrępowanego spogląda. Wreszcie nagłym susikiem do Childeberta doskakuje i palcem w stronę jeńca bodąc, lekliwie, ale i ostro pyta:

– Kogo to, panie, przywiodłeś? I po co? Czyżbyś sądy chciał tu sprawować? A możeś w tych więzach i łańcuchach muratora sprowadził? Co ma robić ten człowiek?

Co ma robić? Nic wszakże – jako skrępowany – robić nie może. Patrzy na nas, i to patrzy z pogardą. Wszyscy jednak na Childeberta spoglądają, tylko Waltrauta pozostaje przy jeńcu.

Porywa mnie złość. Cóż to jednak obchodzi Marcina albo Childeberta – albo może Waltrautę? Childebert jakby ręce rozłożył z zakłopotaniem. Kłopotczy się dwojako. Że rozmówca rzeczy nie pojmuje i że, kto wie, może i on sam w czymś błądzi. Mówi prawie pojednawczo, niemal się tłumacząc:

– Jeńca nigdy nie widziałeś, Alamana-poganina? A toż przecież właśnie podarunek dla ciebie, twojego, no i mojego także Pana. Nie pamiętasz, jak Klaudiusz piorunami nas straszyl? Ale przecież krew na pierwszych kamieniach, czaszka pod fundamentami najlepiej budowlę ochronią. Złe uroki odepchną, pioruny wstrzymają. Czemu więc się chmurzysz? Czy niegodna ofiara? Przecież ci siebie ani córki nie oddam, czyżbyś się tego spodziewał?

Marcin stoi nieruchomo, jakby go już teraz piorun poraził. Ale zdumiony nie jest, tylko poruszony bardzo. Pyta, jakby jeszcze nie rozumiał:

– Co chcesz z nim zrobić?

Childebert wzrusza ramionami.

– Zabić i pochować w wykopie. O co ci idzie? Czy boisz się, że kości z czasem spróchnieją i fundamenty się obsuną? Obawy zbyteczne. Głazy zgniotą go od razu.

Marcin jeszcze pyta:

– Chcesz go zabić? Tutaj?

– Mogę to zrobić na środku, a nie w rogu.

Marcin już się ocknął. Już wie wszystko i zapamiętałe macha rączkami.

– Rzec świętą rozpoczynasz od morderstwa. Głupiego, szalonego morderstwa. Chcesz śmiercią wzmocnić dom Nieśmiertelnego?

– Ależ on jest nie ochrzczony.

– Bogu jest potrzebna jego dusza, a nie trup. Ochrcić trzeba, nie zabić.

– Jestem prostym towarzyszem króla. Ale ani na niebie, ani na ziemi nic bez krwi się nie osto. Tyle wiem na pewno.

– Tu przecież spłynie krew samego Boga, za nasze grzechy przelana. To ona tylko zmywa nieustannie świat potężną rzeką.

– Tym mniej znaczy krew jednego Alamana. Zresztą mało się znam na rzeczach wiary, a jeniec i tak zginąć musi. To piekielne, przez diabła prowadzone plemię ciągle najeżdża pogranicze. Schwytanych żywić nie można; zabijmy go tutaj; Bóg się nie pogniewa. A jeśli się pogniewa, to i przebaczy, zaś krew złe uroki poodrzuca. Wzrośnie więc chwała boża i moc przybytku, który mu stawiam.

– Takiej mocy i chwały Bóg nie potrzebuje. Szlachetny panie, dość tego. Czyżby trunki uderzyły ci do głowy? Każde twoje słowo jest bluźnierstwem.

– Nie rozumiem. O co ci właściwie idzie – o jednego Alamana? O grzech i cnotę? A czy cnotą jest pędzenie rannego z powrotem? Czekanie na śmierć jest gorsze od samej śmierci.

Wzruszam ramionami. Gdy dał się już schwycić, to na cóż innego czekać może? Niech wreszcie Waltrauta przestanie wodzić za nim oczyma. Wolałbym jednak, by Childebert zabił go gdzie indziej. Śmierć ludzka rzeczywiście utrwała mury, a tym tutaj wcale nie życzę trwania. Ale Marcin mnie bawi. Boi się, że podzieli grzech Childeberta, a jednocześnie nie może ostro mu zaoponować. Natomiast Waltrauta nie bawi mnie wcale. Niech więc zabiją co prędzej tego Alamana.

Marcin jednak wdaje się w cudackie wywody. Mówi o miłości, co śmieszyłoby mnie, gdyby nie to, że słucha tego Waltrauta. W końcu i on zaczyna się złościć, i to mnie znów śmieszy. Zaczynam się gubić. Ostatecznie Childebert mógł zabić jeńca o wiele wcześniej, nie musiał ciągnąć go aż tutaj. To wszystko powinno jedynie dobrze mówić o jego ofiarności dla nowej wiary. Przy tym całkiem sensownie dowodzi, że krew Boga i tak zatopi każdą inną, a z pewnością odkupi.

Marcin wtrąca się.

– Ciebie odkupi, ale co z duszą tego człowieka?

Childebert znów wzrusza ramionami.

– Ratuj ją tedy. Pokrop go wodą chrztu, jeśli oczywiście zechce tego.

Alaman jest chyba bardzo zmęczony. Szyję owinał jakąś szmatą, zapewne jest ranny. Milczy, jakby całego sporu nie słyszał, czy – pewniej – nie rozumiał. Ale przy ostatnich zdaniach podnosi głowę i zaczyna się śmiać. I wreszcie przemawia – w naszym właśnie języku. Obraca się do Marcina.

– Zdrajco, heretyku, trucicielu! – wykrzykuje. – Oto są właśnie wyznawcy nicejskiego credo. Zabij mnie, no prędko, morderco. Tylko nie chrzczij przypadkiem. Nasza prawdziwa wiara, którą Ariusz wyłożył, obmywa wodą prawdy, a za to nie leje krwi pod fundamenty kościołów. Posłuchaj mnie, panie – zwraca się do Childeberta – oszukują ciebie.

– Kto mnie oszukuje?

– Ten – pogardliwie wskazał na Marcina. – Nie zbawisz swojej duszy, przeciwnie, ogień piekielny tym srożej palił cię będzie.

– Skąd tobie te słowa, Alamanie?

– Nie jestem Alamanem. Przybyłem od Gotów mądrych, którzy Ariusza słuchają. I Bóg w ich ręce za to wspaniałe królestwo oddaje. Wyznawcy wiary prawdziwej trzymają Południe, bogatą Italię, Hiszpanię, Afrykę.

– Nie słuchaj tego – wrzeszczy Marcin – to poseł szatana.

– I ty zostałbyś moźnym – przekrzykuje Alaman.

– On cię znieważa – zagłusza go Marcin – czyż nie jesteś dość możny? Co powie król, król co powie, gdy się dowie, że słuchałeś tego gada? Zabij go zaraz, nie słuchaj.

Childebert przerywa.

– Dość tego hałasu. – I zwraca się do towarzyszy: – Skończyć z nim.

– Z którym? – pyta rudowłosego olbrzym.

– Idioto, z Alamanem!

– Nie jestem Alamanem... – zaczyna znów, ale nie kończy już, gdyż rudy chwyta go za kark, zgina i wbija w plecy szeroki skramasaks. Jeniec zaharczał. Rudy przegina go jeszcze mocniej, krew bluzga teraz na boki, czerwony bryzg pada na szatę Waltrauty. Rudy szarpie sztylet, słysząc trzask kości, wrywa go i pcha drgającego trupa do wykopu. Waltrauta patrzy na krew, potem na mnie, wreszcie na zwłoki. Marcin pokurcz spogląda na fundamenty, opuszcza ręce, wywala oczy i wygląda jak topielec. W nasze milczenie wdziera się zgrzyt. Odwracam się i patrzę. Na polanę wyjeżdża z dołu wóz z czerwonym kamieniem. Koń cały błyszczący od potu.

## 5

Zielska przywierają mi do kolan, parzą, gdy rozrywam je dłońmi. Dalej dół zagradza drogę; biją po twarzy pręty leszczyny. Ale słysząc już szmer potoku. Znow zgięty konar zarzuca mi na twarz sieć pajęczą, i ostre kamienie pod nogami. Ale widać już wodę. Jeszcze tylko ta kępa latorośli. Jeszcze trzeba złamać łodygi dzikiego bzu, pustego w środku, i przeskoczyć przez zieloną młakę. Ale czuję już chłód strumienia. Nie trzeba było skracać drogi. Okrężne ścieżki wiodą szybciej i wygodniej. Poniosło mnie, poniosło to samo, co miota mną po pokojach, wypycha na folwark, niepotrzebne, ach, całkiem niepotrzebne, niedobre, zbędne, jak niepotrzebnie i tu biegnę, bo nawet źródło jest teraz bezsilne. Nie obrażaj bogów wody! Cóż te zarośla, czy one tak silne, czy ja tak słaby?

Na razie pić. Nie, zasnąć. Nie, świeżym powietrzem odetchnąć. Nie, ziół nazbierać. Nie, po prostu od dębów wziąć cząsteczkę mocy. Patrzcie, nikt oprócz mnie waszej pomocy nie wzywa.

A teraz padam prawie. I oczywiście, ze złej strony podszedłem, nie moją twarz widzę, ale jasny krąg słońca. Dobrze; oślepię, lecz pomóż. Obchodzę jednak wodę, aby i siebie odnaleźć. Żalony widok. Oczy podbite, rozedrgane wargi, włosy w nieładzie. Co robić, gdzie jeszcze szukać pomocy?

Kocham Waltrautę. Kocham barbarzynkę. Kocham chrześcijankę, kocham Frankonkę. Jestem chrystusowy, „miłuję nieprzyjacioły moje”. Hańba przepala mi powieki, tym gorsza, że miłość to niemożliwa, nie wzajemna. Nie odda jej przecież leud szlachetny, tolerujący mnie ledwie. A chyba i sama Waltrauta nie należałaby na ojca. Biedny, słaby i krnąbrny na dodatek, kim jestem? I czymże jest stos rupieci, które szumnie domem nazywam?

Przechodzę o kilka kroków dalej. Przemieniło się wszystko. Tam gdzie wiosną stapałem swobodnie, grzęznę teraz w gąszczu paproci, widłaków, wszelakiego zielska. Jego pęd wzwyż jest ograniczony. Nie przedrą się przez konary dębów, ale na wysokości kolan kłębi się nierozumny chaos zielonej wściekłości. Mogę nim gardzić, zapewne, ale muszę z nim walczyć, a więc uznawać.

Gdzie znajdę oparcie? Zostałem wypełniony naturą i poznałem, że jest zła. Ale i to także, że jest potężna. Przeciw mnie jest woda i ziemia, i powietrze. I ja sam, który także do żywiołów należę. Podchodzę wzwyż, ku pagórkowi zmiierzam. I patrzę na prochy zwierząt ofiarnych. Więc taka jest nagroda za wierność? Tylko to dał mi władca Kapitolu? Bo przecież nic nigdy nie dał mi innego.

Siadam w cieniu dębu. Pobiegłbym ku dolinie Arminiusza, lecz po co? Marzę, aby zasnąć, nie pamiętać, nie myśleć. Tu także zmiierzałem z nadzieją. Jak mogłeś mnie opuścić, Jowiszu? A czy ty jesteś w ogóle? Może rację ma Marcin, że jesteś tylko ludzką złudą.

Oto masz sposobność! Posłuchaj, posłuchaj, uczyni coś, bo nie mogę już, bo zważyło się wszystko. Czy tylko chrześcijanie cuda robią? Czy ty jesteś za słaby? Zrób coś, oddam ci wszystko. Ale wysłuchaj mnie.

Zrywam się i ze wstydem myślę, że nie wziąłem najmniejszej nawet ofiary. Lecz nic to. Przyrzekam: dla ciebie popłynie krew pierwszej istoty, którą spotkam. Podnoszę ręce, opadam na kolana, szepczę: „Zrób cud, zrób coś”, i z głową przy płycie ofiarnej skrzywiony, napięty, pełen rozpacz i niewiary milknę i trwam. Trwam, aż do chwili, gdy ktoś poza mną mówi:

– Klaudiuszu!

Ja znam ten głos. Zrywam się i widzę ją, nie pierwszy raz widzę ją tutaj. I jednak żyję, nie umieram ze szczęścia. Tylko mówić nie mogę.

A ona podchodzi. O, jaki zachwyty. A ona podchodzi. Podchodzi i pyta:

– Co ci?

I wszystko łamie się nagle. Chwytam ją za ramiona i krzyczę jej całą prawdę, całą miłość i ból. Nie wiem, czy rozumie coś z tego, bo bełkoczę prawie. Ale chyba pojęłaby i bez słów. I słucha, nie odwraca się, nie odchodzi. I nie śmieje się także. Nie uśmiecha się nawet. Oczy otworzyła szeroko. A kiedy milknę na chwilę, mówi cicho:

– Ja ciebie też.

Oczu nie opuszcza, bo i czemu miałyby spuszczać. To ja pochylam głowę i tulę do jej piersi. A ona przesuwa mi dłonie po barkach, gładzi włosy. Już wszystko powiedziane. Siadamy, patrzę na nią, na kasztanowate oczy i widzę się odbitego w jej źrenicach, otoczonego kasztanowym blaskiem. Mówię „kocham” i ona mówi. To wszystko. Bo cała reszta jest przeraźliwie trudna. Pytam, po co tu przyszła. Teraz dopiero uśmiecha się.

– Wianek z wodą puścić. A ty?

– Znaleźć kwiat paproci. A nie boisz się, że stracisz wianek?

– A ciebie płomienisty kwiat nie poparzy?

– Nie boję się ognia – mówię i pozwalam się gryźć w język, co boli istotnie jak ogień.

– Ale czemu wianki chcesz puszczać? Przecież jesteś chrześcijanką?

– Brat Marcin nie zabrania wcale. A czy ty myślisz, że taki wielki Bóg pogńiewa się o mały wianuszek? Aha, a wiesz, z czego miał być ten wianek? Z tych twoich liści dębowych. Bogu ich odmówiłeś, a mnie?

– Tobie nie odmówię. Ale po co ci jest wianek, co masz jeszcze do wróżenia?

– Teraz już nic i wianka nie będzie. Ale ty zawsze będziesz przy mnie.

– Zawsze, jeśli nam pozwolą.

Odsunęła się trochę.

– Jeśli pozwolą? Nasi mężczyźni nie czekają na pozwolenie. Jeśli zechcesz być ze mną, to będziesz. Wiesz – uciekniemy. Tam za Renem są także góry, są lasy wysokie. Nikt nas nigdy nie znajdzie.

– A może na południe? – pytam. – Tam jest kraj najpiękniejszy na świecie. Tam jest Rzym. Słyszałaś o Kapitolu?

– O Kapitolu? Nie, nie słyszałam. Rzym to było takie wielkie miasto na południu. Tam męczyli okrutnie świętych pańskich. Widzisz, że wiem?

– Nic nie wiesz, głuptasie. Rzym to coś więcej niż miasto czy kraj nawet. Rzym to był świat.

– Świat jest przecież wszędzie.

– Ale tam był świat prawdziwy.

Nie wiem, jak jej to wytłumaczyć. Nie chcę też jej odepchnąć ani znudzić. I nie wiem, co począć z jej pytaniami.

– A my to nie żyjemy na świecie?

– Żyjemy, ale na gorszym.

– A byłeś w Rzymie?

Opuszczam głowę. Nie byłem. I nie będę. Nie odnajdę dróg zrujnowanych. Nie mam też pieniędzy. Jak jej to wytłumaczyć?

– A widzisz – mówi. – A mój stryj był tam i widział. Mówił, że jest bardzo brzydko. Posągów wprowadzie dużo i niektóre jak żywe, ale wszystkie rozbite i brudne. Nie ma wcale kwiatów, nie ma też drzew. Polować nie można. Chyba, że na wilki – roześmiała się – bo tylko one coś tam dla siebie znajdują. Podobno zeżarły jakiegoś biskupa, słyszałeś? A te rozbite posągi... nie chciałbyś przecież mieszkać na rozgrzebanym cmentarzu?

– Czy lepszy jest cmentarz już zarosły zielenią? Walti, ten Rzym był światem lepszym czy gorszym, ale moim. Moim.

– Ale jego już nie ma, a ja jestem.

– A ty też jesteś moja!

– Nie całkiem jeszcze, Klaudiuszu!

– Ale chcesz tego, czego i ja pragnę, a więc jesteś.  
– Dobrze, ja jestem twoja, i Atesmerius sługa też twój. Złap go więc za ramiona, jak ze mną robisz.  
– Nie żartuj, Walti.  
– Głupstw więc nie mów, jedyny.  
– Cała miłość jest głupstwem.  
Spogląda niechętnie.  
– Nie znam się na tym. Z Marcinem podyskutuj, jemu to wytłumacz. Ja nie muszę rozumieć, ja wiem.

I patrzy na mnie, a ja patrzę na nią i także wiem, czego nie muszę rozumieć. Jak płomień lata, ciężki żar słońca, ognistej kuli na niewidzialnych skrzydłach. Jak wiosenny wzlot zielonych pnączy, które nagle o kilka stóp nad ziemią trafiają w cel krwawiącą raną kwiatu.

Jakże się to dzieje? Jak przedziwne drogi prowadziły nas ku sobie, dziwniejsze niż droga rośliny w czerwcowym powietrzu.

Nasi przodkowie szli ku sobie przez kontynenty i stulecia. O, nie zmierzali z pękami kwiatów, z gałęzią oliwki i czaszą wina. Wychodzili z ciemnych puszczy w surowych skórkach, dochodzili do granicy borów i spoglądali oślepieni na srebrzyste i złote, słoneczne pola Latium. Szli wraz ze słońcem wiodącym ich od horyzontu po horyzont. A moi szli wbrew słońcu, hardzi i dumni przeciw jego drodze. Szturmowali czerwone świty, ruszali z wysokich zamków i miast opasanych murami. Bili drogi, cięli lasy, zakładali miasta.

I starli się ze sobą nad wielkimi rzekami. I ciała z pluskiem waliły się do wody. Krótki miecz nie pokonał barbarzyńców, słońce Rzymu przygasło. To ono wiodło hordy Północy, zapatrzone weń, ślepe na to, co depczą ich stopy. Oto nasi zwycięzcy, którymi pogardzamy i czić musimy za ich potęgę. Oto Waltrauta-Diana, groźna bogini borów, którą wyznaję w moim dębowym i źródlanym Penteonie. Należy do bogów, jest bogiem, bo boskość zależy od wiary wyznawcy.

Marcin mówi, że nie można służyć dwóm panom, lecz tylko jego Bóg ma być nie ułomny, ale ostateczny. Ja wiem tylko, że ludzie i bogowie mijają. A wiem także, że Waltrauta przyszła, gdy prosiłem o pomoc moich bogów. Jest więc ich darem, a w ich mocy jesteśmy oboje.

Myślę i milczę. Przyciskam głowę do jej ramion, oczy mam zamknięte. Czuję jej lekki drażniący zapach, jakby odrobinę piżma roztarło w palcach. Waltrauta delikatnie odsuwa mi głowę i pyta:

– Dziwisz się?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Czemu mam się dziwić? Jej, że tu przyszła? Sobie, że Kocham? Że tak siedzimy przytuleni koło kamiennej płyty ołtarza wśród nieruchomych, milczących w żarze młodego lata dębów? Myślę, że miłość nie jest dziwna. Dziwić mogą jedynie jej okoliczności. Ale na to nie ma już rady, to załatwiają za naszymi plecami. Gdyby limes trwały nienaruszone, gdyby odepchnięto barbarzyńców, nic nigdy nie zaświtałoby między nami. Oczywiście, miłość nadeszłaby i do mnie, i do niej, ale skierowana ku innym. Miłość jest taką samą koniecznością jak głód, sen albo śmierć, które czekają nas nieuchronnie w określonym, lecz od nas niezależnym miejscu i czasie. Zасыpiamy: na łóżku albo na ziemi, na mchu czy piasku; zasnąć jednak musimy. Pragniemy jedynie zasnąć, a przypadek podsuwa nam wezglowie.

Myślę, że Waltrauta też się nie dziwi. Pyta się, aby coś powiedzieć; może jest zakłopotana.

Nagle przypominam sobie i drgam z irytacji.

– Podobał ci się ten Alaman?

– Podobał – odpowiada. – Ale przecież już nie żyje.

Teraz ja odsuwam się i siadam naprzeciw niej.

– Wszystko, co było, jest nadal. Wszystko, o czym pamiętamy, istnieje.

– Aa, tak. Pamiętam, jak kłóciliście się z ojcem i Marcinem o te drzewa, to też tak mówiłeś. Ale czy teraz musisz myśleć o umarłych? Ja jestem z tobą, żywa. A jak nie chcesz, to sobie pójdę.

– Nie, nie – przerywam jej z lękiem, że naprawdę odejdzie. Istotnie, Alaman nie żyje. Nawet nie był Alamanem, licho wie kto, co mi do tego. A Waltrauta żyje, jest. I jest lato, i szmer wody dobiega ze zbocza. Nie chcę już nic, do niczego nie tęsknię, o niczym nie pamiętam. Nie wiem, co będzie ze mną i jak długo to potrwa. Niech dzieje się odtąd wola bogów, skoro moją wolę spełnili.

– To ty mnie kochasz naprawdę? – znów pyta. – Dlaczego milczysz, dlaczego nie mówisz?

– Bo jestem szczęśliwy.

– I zawsze będziesz szczęśliwy, prawda? – uśmiecha się i pyta.

– Zawsze, na pewno.

– A będziemy mieć dzieci?

Nie myślałem o tym. I boję się myśleć. Dzieci... Cóż im przekazać? Jakie zwierciadło jakiego świata? Co im przekazać, krzyż? A może tylko bunt, protest przeciw historii? Dalej zaś ucieczkę, krycie się po norach, nędzę, los niewolnika. Przeklinam swoich przodków za to, co zrobili ze światem, czy dzieci moje nie przeklną mnie za to, co zrobiłem z nimi? Wolę zmienić temat.

– Wiesz, Walti, że nie wierzę w twój Boga?

– Oczywiście, że wiem! Każdy wie, że Klaudiusz to poganin. Nawet jestem ciekawa. Pamiętasz, widziałam cię, jak składałeś ofiarę.

– Strasznie głupio wyglądałem wtedy.

– Ale jaki byłeś ładny!

– Nie boisz się moich bogów?

– Wcale nie. Jestem ochrzczona. Ani ciebie się nie boję, aha.

– Czeka ty! – podnoszę się z groźną miną, a ona już o parę łokci dalej. Śmieje się, za drzewami się kryje i stamtąd jak wiewiórka wygląda. Gonię ją dokoła pagórka, śmiejemy się oboje. Wreszcie daje się schwytać, przewracam ją na mech, na liście, na zieloną trawę. Jestem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy.

Całuję ją, a ręce moje błędzą. To jest jak wino. Gdy dwa kubki wypiełeś, o trzecim już myślisz tylko. Lecz dłoń ledwie musnęła gładkiego ciała, grzęźnie w jej szczupłej, ale jak mocznej dłoni.

– Nie spiesz się tak, panie mój – szepcze. – Czas jest przed nami, znam cię za mało. I boję się trochę. Nie, nie, nie teraz.

Więc leżymy obok siebie w łagodnym popołudniu w łaskawości bogów i natury. Mówimy i pieścimy się na przemian. Lecz ciągle jestem jak napięta cięciwa. I nie wiem, co mam mówić o przyszłości, której pragnie Waltrauta. Nie pojmuję jej, jest jak woda mijająca palce. Leśna boginka łaskawie z gąszczy wyłoniona, to znowu dziecko niewinne. Zresztą dzieckiem jest prawie.

Przyszłości nie znając o przyszłości jej mówię. A ona śmieszna jaka. Mówię o wojnach i cesarzach, a ona pyta, jakie szaty w Rzymie noszono. I czy były tam piękne kobiety, i czy od niej ładniejsze. Czy kochałbym ją bardziej, gdyby była Rzymianką. I wiele rzeczy podobnych. Ona sama wiele już widziała. Zna pobojuwiska, słyszała trąby pościgu i zdyszane oddechy ucieczki. Odbiega ode mnie dziewczyną, wraca kobietą i boginką tajemniczą triumfuje.

I znów przesywa mnie dreszcz. Jak mogłem zapomnieć. Bogowie dali mi kwiat paproci, lecz ja także obietnicę uczyniłem. Krew pierwszej spotkanej istoty. Krew pierwszej spotkanej istoty. Odsuwam się z przerażeniem od Waltrauty. Ona zaś zdziwiona pyta z uśmiechem, co się stało.

– Czy składasz ofiary, Walti?

– Składam. Bogu dałam złotą fibulę, Marcin mówi, że za nią piękny krzyż dostanie. Leśnym pannom białe nici wieszam na rozstajach, a dla gnomów miskę mleka nocą zostawiam.



Wszędzie jest pełno duchów. Marcin mówi, że to diabły Bogu niemiłe. Ale moja matka miała dla nich zawsze ofiarę, a jej matka także. Więc może Bóg nie pogniewa się na mnie? A czemu ty pytasz?

– Bo ja obiecałem bogom ofiarę, której złożyć nie mogę.

– To bardzo niedobrze. Nie trzeba obiecywać. Co to za ofiara?

– Walti, ja bardzo ciebie kocham. I za to, żebyś była ze mną, ofiarowałem krew pierwszej istoty, którą spotkam. Rozumiesz?

Rozumie. Oczy otworzyła szeroko, patrzy na mnie nieruchomą twarzą. Opuszcza głowę, potem znów ją podnosi. Ma czujne oblicze kobiety.

– Powiedziałeś wyraźnie: każdej istoty? Nie powiedziałeś „zwierzęcia”?

– Nie powiedziałem.

– A za co, za to, żebyś przysłała tu, czy za to, żebyś w ogóle była z tobą?

– Za to drugie.

Naprawdę to było za to, żebyś przestał kochać. Ale wtedy nie wiedziałem, że ona mnie kocha. Cóż jednak robić, takie bywają dary bogów.

– A może byś się ochrzcił? – pyta. – Jezusowi tej obietnicy nie składałeś.

– Co to pomoże? Ochrciłaś się, a nosisz ofiary leśnym pannom.

– Bogów nie można oszukać. Obiecałeś krew. Krew, a nie życie? Będzie więc krew. Dam ci ją, bo nie chcę ciebie utracić. No i wszystko będzie dobrze. Rozumiesz?

– Nie.

– To się domyśl – roześmiała się. – Ale nie teraz. I ani słowa o tym, dobrze? Niech przyjdzie wieczór.

Zamilkła, nastroszyła się, jakby skupiła w sobie. A potem nagle i mocno całuje mnie w usta. Rozumiem, już rozumiem. O, sprytna barbarzynka. Błogosławiona, gdyż ona posiada ziemię.

– No to co – pytam – będziemy uciekali? Chcesz, żebyś mówił jak wojownik, ale ja przecież wcale nie jestem wojownikiem.

– Naturalnie, że uciekniemy! – powiada. – Najlepiej na północ, wzdłuż strumienia. Będziesz miał cały czas swoją wodę po drodze. Będziesz nawracał Fryzów na chrześcijaństwo. Obedrą cię ze skóry i zostaniesz świętym. Relikwie przydadzą się Marciniowi.

– Nie – odpowiadam – tylko na południe. Będziesz w Rzymie kapłanką Odyna, a rzymski biskup wbije cię na pal. Wolisz?

– Ee, głuptas z ciebie. Nic nie wiesz o świecie. Rzym i Rzym. Nie lubisz chrześcijaństwa? To czego szukasz na południu? Diabłów więcej na północy. Siedzą tam w górach, lasach, lodach. Pilnują liści, żeby spadały jesienią. Igrają ze szczupakiem w jeziorach. Jastrzębiem płoszą obłoki. A potem dosiadają burzy i gnają na zachód i południe. Kłębią się w ciemnych chmurach, zapalają czerwone błyskawice. I tu dopiero nad Renem zatrzymuje je krzyż.

– Bajki opowiadasz, Walti. Sama nie wiesz, czy jesteś chrześcijanką, czy nie. Kto ostatecznie rzuca te gromy – żydowski Bóg, Odyn czy Jowisz? Więcej bogów niż piorunów.

– To przez ciebie chrześcijanin się odezwał. Zaraz cię Marcin nawróci.

Śmieszne to, lecz i zniechęcające odrobinę. Ziewam i mówię:

– Może on jeden pośród nas wierzy rzeczywiście w cokolwiek.

Waltrauta podrywa się gniewnie.

– To tylko ty w nic naprawdę uwierzyć nie umiesz. Myślisz, że nie wierzyłam we Freję? Że nie uznaję Chrystusa? Że nie ma diabłów na świecie?

Daleko w lasach północy są skały Exerstein; wśród nich pośrodku grozi niebu kolumna demonów Irmensul. Tam jest oś świata, tam kapłani leżą w ciemnościach krew poświęconych ofiar. Tam w głuche noce przylatuje diabeł w ciele puchacza i kołuje bezszelestnie nad kałużami krwi. To jedna ze stolic piekła, gdzie schroniły się demony wygnane stąd. Zostały tylko duszki, gnomy, panny leśne i wodne; mogą pomóc, mogą zaszkodzić. Ale nad nimi jest wielki, prawdziwy Bóg.

Ale groźnych gestów i słów nie wystarcza na długo. I już zaraz uśmiecha się i ja się uśmiecham. Puchacze, obeliski i kałuże posoki bledną w przymkniętych oczach. Czuję przez szatę jej piersi, czuję, jak napinają się mięśnie na nogach. Cóż mnie obchodzą wszyscy bogowie? Ach, jak daleko jeszcze do wieczora! I jakąż krótka noc dzisiaj nas czeka. Ale dziękuję bogom, wszystkim bogom, którzy wysłuchali mego głosu.

Przed nami jeszcze ognista przestrzeń dnia ogromnego jak samo lato dochodzące tu do wierzchołka. Czas, w którym ptaki zmęczone milkną, a zieleń zawisa na najbardziej wysiłonym szczycie wzlotu. Jak wystrzelona wzwyż pionowo strzała dosięgając niewidzialnych granic wzlotu trwa przez chwilę nieruchomo, zanim nie obróci się ostrzem ku ziemi.

Właściwie jestem głodny. Kawał pieczeni, kubek wina, choćby i samo naczynie nie było najnowsze. Tak, to dobre rzeczy. Możliwe, że Waltrauta myśli to samo. Ale nie pójdziemy do domu, tu bowiem jesteśmy w mocy zaklęcia. Jak to się jednak dzieje, że dni bywają krótkie i długie? Objasniano to pono, lecz któż wyjaśnił naprawdę? A ostatecznie jakież wyjaśnienie mogłyby noc przybliżyć?

Nie jest to zresztą złe czekanie. Pragnienie gasi woda strumienia; przelewamy ją z ust do ust. Chwilami, gdy woda jest spokojna, spoglądam w nią ukradkiem. Wyglądam lepiej, znacznie lepiej niż przed południem! Waltrauta też się przygląda; nie czyni tego jednak ukradkiem. Przeciwnie, nachyla się cała skupiona. Jakże inaczej jednak patrzemy! Ona poprawia włosy, wyjmując z nich szpile, kładzie do ust, a potem znów z uwagą wpina je w miejsce upatrzone. Nie szuka chyba w wodzie cieni, wydarzeń, historii. Ale być może kobieta sama jest historią dla siebie, równie ostateczną jak dzieje imperium? I przecież ja sam mocy jej ciała nie podważam. Przeciwnie, jego żywy kształt roztrąca jak klocki dziecka moje księstwo przeszłości.

Czy to istotne, dlaczego tak czynię? Że sprawiło to lato, rozpęd zieleni, wezbrane wiosenne wody? Cóż z tego. Czynię. Kocham i pragnę. A moje ciało nie jest poza mną ani czymkolwiek obcym nie jest. Co czyni moje ciało, czynię ja. Co czynię ja, czyni historia. A głowa moja na kolanach Waltrauty i w jej dłoniach. Bawi się kosmykiem włosów. A potem, kiedy cienie zaczynają rosnać, podrywa się i woła, że musimy mieć wianki na głowach.

Dlaczego – nie wiem, czy dlatego, że noc najkrótsza? Czy obyczaj to frankoński jakiś. Dość, że porzuca mnie i za kwiatami się rozgląda. Ale las tutaj ciemny i kwiatów niewiele. Wiosną bywały anemony i fiołki w wilgotnych zagłębieniach. Teraz tylko nietrwale jaskry w odsłoniętych miejscach i nad brzegami strumienia nikłe niezapominajki. Waltrauta odtrąca je niechętnie. Spogląda ku opadającym konarom i nagle uśmiecha się przekornie. A potem prosi mnie, abym gałąź do ziemi przygiął. Robię to, a ona odłamuje młode gałązki, przebiera je, bardzo giętkie na osobny kopczyk odkłada. Niezbyt foremne to wieńce, ale przecież czoło ochłodzią.

W wieńcach z liści, milczący, bo wszystko zostało powiedziane, idziemy ku równej kotlinie pokrytej mchem. Siadamy w rosnącym mroku, Waltrauta wydaje się niedotykalna i daleka. Milczy, a ja nie ośmielam się zbliżyć do niej. Nogi podwinęła pod siebie, splotła ręce na kostkach i patrzy schylona na stopy. Wreszcie głowę podnosi i ręką ciągle nie rozplątując, wychylona do przodu mówi:

– A więc zrób to ze mną.

Ukradkiem i tchórzliwie, jakbym robił rzecz zakazaną, przyciągam jej głowę i rozsypując włosy rozsuwam wilgotne usta. Piersiami już przyciska się do mnie, lecz biodra jakby wstecz uciekły. I ręce rozsunięły się, nie ściskają kostek, lecz nie obejmują mnie przecież, błądzą gdzieś koło kolan. Szarpię jej suknię, obnażam biodra, brzuch, odrzucam swoją szatę i czuję pospieszne falowanie ciała. Jej dłonie odsuwają mnie jednak i boginka mówi głosem dziewczyny:

– Nie. Czekaj. Jeszcze czekaj. Jeszcze chwilę czekaj.

I zupełnie cicho, jakby nie do mnie, ale wprost do mego ciała, ramion i brzucha mówiła:

– Boję się.

I to wreszcie rozpędza całkiem mgły bogów. Jestem znów na swoim miejscu, jestem mężczyzną. I spełniam, co do mężczyzny należy. Otwiera się piekąca szczelina brzucha i oto jestem w wilgotnym i gorącym dnie ciała. Nie myślę, nie chcę, nie muszę. Widzę białka oczu, w których nic się nie odbija. Coraz szybciej oddychające usta. I wstrząs, który przesywa jej ciało, łączy i mnie, porywa, zatracając nas w nieskończoność zeschniętych, zielonych, zeschniętych, zielonych, zielonych, zielonych liści, dni, obłoków.

A potem całuję jej biodra wilgotne i zakrwawione. Kropelki krwi kołyszą się także na łożkach mchu.

Pajęczek albo mrówka przebiegła mi po ramieniu, usuwam ją palcem i czuję wilgoć. Na ramieniu jest nakreślony wodnisto czerwony, krzywy krzyż. Zmazuję go szybko.

Leżeliśmy obok siebie milcząc, aż zapadła noc.

Wreszcie Waltrauta podnosi się, poprawia włosy i nasłuchiwać zaczyna.

– Pójdziemy – mówi. – Dzisiaj zielona noc. Zapłoną ognie, wianki popłyną wodą, będzie dużo tańca i śmiechu, chodźmy.

– No a ja?

Popatrzyła, jakby nie rozumiejąc. W końcu wzrusza ramionami.

– Ty przyjdiesz do nas. Ze mną. I to już będzie twoja ojczyzna.

Śmieje się i bierze mnie za rękę, i ciągnie ku dolinie. Biegniemy omijając drzewa, przeskakując strumienie, nadreńską nocą pod niskim światłem gwiazd.

## 6

– No, sam chyba rozumiesz – mówi – że do łoża są niewolnice i córki kolonów. Sądzisz, że nie znam tego? Przecież nie z jedną tylko matką Waltrauty miałem do czynienia! Ty jednak podniosłeś rękę wcale wysoko. A jeśli ścinasz wysokie drzewo, to ciężiej ono przecież o ziemię grzotnie niż pręt leszczyny. I kości połamać może. Tak.

Milknie i kręci kosmykiem brody. Zresztą jest raczej spokojny, nie krzyczy ani grozi. Bardzo rzeczowy i cieszą się z tego. Nie znoszą dramatycznych gestów, rozdzierania szat, podnoszenia dłoni ku niebu. Childebert tego nie czyni.

Popatrzył ku mnie, jakby odpowiedzi czekał. Lecz przecież na razie i pytania nie postawił. Że postawi je, nie wątpię. Jeśli moja odpowiedź nie padnie pierwsza.

– Nie uwłaczam ci, leudzie szlachetny – mówię. – Wiem, żeś nie z byle jakich, nie leszczyna ani łoża. Nie należysz wprawdzie do starych mieszkańców, przyszedłeś tu niedawno. Lecz jesteś jednym z panów swego ludu. Wielkie są twoje trzody, wiele sług dom twój otacza. Mocnyś. I nad nami panujesz, i Alamanów zdzierzysz. Ale ja nie jestem synem niewolnika. Chyba nie wątpisz, że moja krew hańby ci nie przynosi?

Childebert parska ni to z gniewem, ni niecierpliwością.

– Nie wątpię. Gdybym wątpił, kazałbym cię zatłuc pałkami. O to więc wcale nie idzie. Ale będzie dziecko, to już nawet teraz całkiem się ukryć nie daje. Dziecko mojej jedynej córki. Co z nim się stanie? Cóż jego ojciec na to? Czy ma zostać bękartem niby syn sługi? Młodszy ode mnie, ale przecież dojrzały, wiekiem się nie wymawiaj.

– Ani wiekiem, ani niczym wymawiać się nie będę. Dziecko uznam za swoje. Ale prędzej jeszcze uznaję za swoją jego matkę. Czy tego chciałeś, Childebercie? Milczysz. Rozumiem. Chciałeś swatów uroczystych, chciałeś, aby zwyczaj jakikolwiek, frankoński albo rzymski czy może chrześcijański nawet, został zachowany. Masz w tym rację i prawo. I tu kornie cię proszę: gniew swój uśmierz. Zbłądziłem, zbłądziliśmy oboje. Ale wejrzyj na wiek nasz, na czary letniej nocy, słonecznego święta. I na to, że sam do ciebie przychodzę. I że córkę twoją – kocham.

– Wiem to, wiem wszystko. I więcej jeszcze. Przepraszam twoje przyjmę, bo zresztą cóż lepszego mi zostało. Co jednak teraz czynić będziemy?

– Córkę twoją wezmę za żonę.

Childebert pokiwał powoli głową. I milczy znowu. Tej rozmowy jednak nie można rozłożyć na części. Wszystko musi zostać powiedziane do końca. Jedno wiemy już chyba: nie jesteśmy sobie wrogami. Lecz tego domyśliłem się i wcześniej. Trzeba teraz ustalić warunki tego związku. Przewiduję, że lekkie nie będą.

Na razie siedzimy w zapadającym zmroku. Tu, u Childeberta. wieczór nadchodzi prędzej niż na wyżynie. Tu ciaśniej, wilgotniej i ciemniej. Światło jeszcze tylko na ostrych krawędziach wzgórz, jak na wzniesionych w górę ramionach. Kładzie długie plamy na stokach gór, na niewidocznym stąd moim domu. Na kolumnach perystylu, na dębowych ławach, na pędach dzikiego wina w kolorach wczesnej jesieni.

Tu krócej słońce zagląda. I jesień, i noc szybciej nadchodzą. Wiemy, że gdzieś tam jest dzień, widzimy nawet jego odbłaski, a jednak cień nas pochłania. Zresztą nie jest jeszcze zimno, choć noce bywają chłodne. Są za to dłuższe, co ostatnio nie jest dla mnie bez znaczenia. I to tak dalece, że niemal z sympatią myślę o bezkresnych zimowych ciemnościach. To oczywiście też minie, ale – pokażcie mi rzecz, która nie minęła.

Tym razem przyszedłem w dolinę Childeberta bez żalu i gorzkich rozmyślań.

Co minęło, minęło. Mieszkał tu kiedyś Arminiusz, lecz nie potrafiłbym teraz wskazać nawet fundamentów jego domu. Zresztą żadnych fundamentów ani ruin nie szukam. Rozmyła je woda, zielskiem zarosły. W wilgotnych zakamarkach zioła wznoszą się wyżej i szersze mają liście niż na słonecznych łąkach. Do tej chłodnej doliny rozrostu zawiodły mnie cienie przyjaciół, zwierząt i bogów. Co poczną ze mną dalej.

Lecz czy nie za wiele składałam na bogów, czyż ja sam nic do powiedzenia nie miałem? Któż to prosił o pomoc? Czy jej nie otrzymałem? Co prawda w innej nieco, kłopotliwej i groźnej postaci. Człowiek może zyskać to, czego pragnie. Siłą się, krztusząc, błagając bogów czy sam los po prostu. Ale cena wysłuchanej prośby jest wysoka. Wiedzą o tym stare legendy, wspominają mity. Zawołałem, dostałem i muszę teraz zapłacić. Nie wolno więc oskarżać nikogo.

Los dopełnia się sam, ale i sam człowiek go wyzywa. Sam? Czy naprawdę on? A jeśli skazaniec wrzasnie z bólu, to kto wrzasnął właściwie: on czy jego ciało toczone ogniem? Pragnienie, ból są od nas większe i one to krzyczą naszym głosem. Na wąty listek ludzkiej wiedzy i mocy prą masy powietrza, wał się nawałnice wody. Skąd liściom siła dębu? A stąd los liścia nie jego mocą się spełni, ale tylko kierunek wiatru ukaże. I bogów prosząc tylko o wiatr przeciwny, o silniejszy jeszcze prosi. I uciemiony jest we wszystkich kierunkach.

Milczymy, a wieczór chłodnym cieniem nas otacza. Kolory dnia odchodzą wraz ze światłem, obraz w jasnociemny rysunek się obraca. Childebert milczy, rozważa i mówi:

– Miłością się nie tłumacz, że wielka i pełna płomienia. Cóż bo w tym ważnego? Nawet dziewczyna nie na to spogląda. Ona pyta, czyś krzepki i urodziwy, w szaty piękne przybrany, majątny i sławny. Cóż by ją obeszła największa nawet miłość starego pokraki w krostach i wrzodach, niewolnika przy tym i wszarza? Niechby tam sobie z bólu i pragnienia język odgryzał, a wrzody z rozpachy rozgniatał. Prawda, Marcin inaczej powiada. Ale królestwo Chrystusa i mojego teraz także pana daleko. Posłuchajże więc rozważnie. O miłości Waltraucie mówiłeś, zdaje się nawet, zbyt wiele... Mnie ciekawi, czym jej mundium wykupisz? Co mi dasz za nie? A jakież to będzie morgengabe dla niej samej?

– Wybacz, Childebercie, ale nie rozumiem. Co właściwie mam ci dawać i dlaczego? Zwyczajnie tej ziemi są odmienne.

– Ale prawo jej panów jest takie.

– Jeśli gardzisz starymi korzeniami ziemi, to wydaj mnie swoim oprawcom. Wiesz przecież, że poza krwią starą nic mi już nie zostało. Krew możesz oczywiście przelać, ale co ci z tego?

Childebert uśmiecha się. Widać sam żadnego morgengabe nie czekał.

– Dobrze już, dobrze – powiada. – Nie złość się i nie dąsaj. Naiwny nie jestem. Wiem, coś warty, a czego nie możesz. Posłuchaj: szlachetny ród Merowingów nie chce deptać kwiatów tej ziemi. Przyjaźń krwi, właśnie dobrej i starej, ocenić umie. Jeśli tedy posłuszeństwo, przyjaźń i chęć służenia okażesz, wynieść cię może wysoko. I w ziemie szerokie zaopatrzyć. Chcesz zięciem moim zostać; choć nie wedle zwyczaju uczyniłeś, zaufanie ci okażę. Królowi spodoba się niechybnie, gdy córkę jego leuda weźmiesz za żonę. A że sam Syagrius tobie wujem, więc twoja przyjaźń to przyjaźń wszystkich, wrogich jeszcze niedawno Rzymian na tej ziemi. Pojmujesz teraz, dlaczego nie czekają ciebie pałki niewolników ani topory moich towarzyszy? Nie ukrywam, to małżeństwo jest dobre dla nas obu. I mnie, i ciebie król wynagrodzi. A więc twoje morgengabe dostanie się Waltraucie. Tyle, że z opóźnieniem. Ale przecież i tak dać byś je powinien już wcześniej. Chyba tak koło letniego przesilenia? No, nie wzdragaj się. To już twoje sprawy. Między tobą a twoją żoną... Cóż, jesteś zadowolony?

Potakuję z powagą. Zresztą istotnie nie mam powodu do wzdragań. Waltrautę kocham i nie chcę jej traktować jakkolwiek. Z drugiej strony dobrze to będzie dom swój oczyścić i odnowić, ksiąg nakupić, w piękne szaty się oblec. Sam nie poszedłbym do Franków, skoro jednak oni do mnie przychodzą, ręk ich odpychać nie będę. Ostatecznie wchodzę w wiek męski;

trudniej mi znosić niewygody, trudniej znosić pobłażliwość sąsiadów. A przecież nie jestem od nich gorszy! Ani brzydszy, ani słabszy, ani też mniej uczony. A więc miłość i majątek? Niesłusznie skarżyłem się na bogów. Wspaniale przecież mnie darzą!

Dziękuję Childebertowi słowem powściągliwym, lecz gorącym. I spójrzcie tylko! Zaledwie „tak” słyszę i zaledwie sam je wymawiam, czuję w sobie falę życzliwości: znika gdzieś mur, który dotąd wzrastał między nami... A właściwie czy jakikolwiek mur istniał naprawdę? Czy nie był tylko wzajemną pomyłką? Przybysze nie chcą przecież wcale zguby Rzymu, przeciwnie, chcą zostać Rzymianami. A jacyż inni Rzymianie mogliby im w tym przeszkodzić, skoro wszyscy wymarli lub skarleli? Niechże więc staną się nimi co prędzej i odrodzą chwałę minionego czasu. Byle tylko umieli wierności dochować starym ideałom. Ale jak mogą dochować wierności nie znając owych ideałów? Trzeba więc uczyć. Być może będę dobrym nauczycielem.

– Zostaniesz na wieczerzy – Childebert powiada – i uroczyście całą rzecz zapowiemy. Teraz jeszcze Marcina zawezwiemy i umówimy wszystko w szczegółach. Czy chcesz, aby pochodnie przynieśli?

– Nie, leudzie dostojny. Lubię ten półmrok.

– Dobrze, że lubisz cokolwiek. Już mi się zdawało, że po prostu niczego lubić nie potrafisz. Posiedź więc chwilę.

To rzekłszy wstaje i w głąb domu odchodzi. Siedzę nieporuszony, sztywny, choć nikt na mnie nie patrzy. Zresztą gdyby nawet patrzył, to zobaczyłby niewiele. To już naprawdę zmrok. Teraz puszcza się budzi. Z nor wyłażą lisy i borsuki, niedźwiedź ruszył się w swoim wykrocie. Tam, niżej, jakiś ptak odezwał się i umilkł. Przez niebo, na ukos, przeleciała miękko i powoli gwiazda. Mówią, że to ktoś umiera. Lecz czymże są gwiazdy i dlaczego spadają? Jak to jest, że każdej jesieni tyle ich upada, a przecież gwiazdozbiory świecą zawsze te same i nieporuszone? Orion i Wielki Pies, i Wężownik. Czyjeż to mogą być gwiazdy i dlaczego nie spadły? Nie królów, nie cesarzy, nie prawodawców – oni wszyscy pomarli. Może to gwiazdy bogów? Ale bogowie też umierają. I właściwie razem ze mną, ostatnim ich wyznawcą, powinno runąć całe niebo. Gdzie te gwiazdy upadną? Może w Ren i woda rozświeci się od wnętrza? Czy upadając zawisną chwilę jak lampy nad Kapitołem?

Nie wiem, czym są gwiazdy. I nie dowiem się nigdy. I wreszcie mało mnie to obchodzi.

W ogóle jak można mówić, że one nie tylko są, ale były? Nic nie wiem o tym. Czy ja sam byłem wczoraj; czy jakieś wczoraj, może nawet gwarne i ludne, bywało? Może cała przeszłość była tylko snem ubiegłej nocy, snem zaludnionym wojownikami, ustami kobiet, trzaskiem broni, upałami lata i mrozami zimy. Czy warto się upierać przy czymś tak niepewnym? Któż zaręczy, że tej właśnie nocy nie wyśni mi się świat inny i do poprzedniego niepodobny.

I znów gwiazda. Teraz tylko krótki błysk ginący pośród jodeł. Góry są już czarne i stapiają się z niebem. Tyle, że gwiazd na nich nie ma. Ani gwiazd, ani innych światła. Więc cóż – być jedynym światłem wszystkich tych lasów, pustych rzek i gór? Czy raczej trwalszą gwiazdą konstelacji? Słyszę za sobą dreptanie. Poznają te kroki. I głos Marcina nie zaskakuje mnie wcale.

– Cieszę się – mówi – cieszę się, bardzo się cieszę! Samotność to bardzo zła rzecz, Kladiuszu. To rzecz diabelska nawet. Nie wolno grzeszyć samotnością. Od ludzi wolno odchodzić tylko po to, aby się modlić. A to już nie jest samotność. Stwórca powiedział: Niedobrze człowiekowi samemu. I miał rację. Oczywiście, jakże Stwórca racji by nie miał?

– Marcinie – przerywam – jesteś mądrym człowiekiem. Nie opowiadaj mi biblijnych bajeczek. To naprawdę nie dla mnie.

– Chcesz mówić o małżeństwie?

– Nie, a raczej nie teraz. Za chwilę, za parę chwil. Teraz powiedz mi, na co ci Bóg?

– Jak to na co? Ależ ja po prostu wierzę, wierzę w te wszystkie, jak powiedziałeś, „bajeczki”. Jeśli się wierzy, nie można pytać „po co” ani „dlaczego”.

– Nie rozumiesz mnie jednak – mówię z niechęcią.

– Posłuchaj – Marcin z namysłem. – Są jeszcze inne, nie, nie powody. Powiedzmy „okoliczności”. Człowiek nie może być samotny. Człowiek nieustannie woła. Czym jest człowieczeństwo? Głosem. Kto tylko pisać umie, wiersze pisze. Kto język ma, śpiewa. I to nie mając nic do napisania, a do śpiewania także nic własnego nie mając. Człowiek, który umilknie, umiera. I patrz – ktoś słucha tego nieustannego monologu, który milcząc snujemy bezustannie? Jedyne Bóg. Jego tylko nie nuży nasze niemowlęce gwarzenie. On nie żąda od nas nowości ani rozrywki. Jest nieskończonym słuchem, tak jak my głosem jesteśmy. Jesteśmy potrzebni Bogu, aby mógł słuchać, a Bóg nam, abyśmy nie mówili na próżno. Czy rozumiesz teraz?

– A więc Bóg byłby czymś na kształt źródła, w którym się przeglądam. I to nawet, gdyby go nie było?

– I to nawet, gdyby go nie było.

Nie odpowiadam. Arminiusz także wiązał istnienie z głosem. Ale mówił o samotności głosu, ten zaś na opak sprawę wywraca. Ileż to ludzie nie uczynią, aby nie utracić nadziei.

– Dobrze już – mówię. – Powiedz mi, z czym przychodzisz?

– Przede wszystkim z radością. A po wtóre z Bogiem.

– Do rzeczy, Marcinie.

– Nie odchodzę od niej na jotę. Cieszę się naprawdę. Może będziesz szczęśliwy, tak jak to na ziemi możliwe? Ale twoje szczęście, Klaudiuszu, musi zatwierdzić Bóg.

– Zdaje mi się, że właśnie żeniąc się samotności unikam. A samotność ganisz najostrzej. Żona i Bóg – czy to nie za wiele?

– Nie żartuj. Ożenisz się, ale wedle Chrystusowego prawa. I chrzest przedtem otrzymasz. Czego innego się spodziewałeś?

– Nie, wiedziałem, że tak się odezwiesz. Ale właściwie dlaczego? Czy Chlodwik nie pojął Klotyldy jeszcze jako poganin?

– Pojął, ale był królem. A ty nie jesteś. I jeśli na lepszy brzeg wypłyniesz, to właśnie poprzez sadzawkę baptysterium.

– Masz na myśli brzeg wieczności?

– To oczywiście także, ale potem dopiero. Na razie żyjesz, dość ubogo, niestety, nad brzegiem Renu. Wiesz zresztą, o co mi idzie. I nie protestuj już, to naprawdę nieuniknione.

Cóż mi więc pozostaje? Muszę uznać, że cała przeszłość była tylko snem minionej nocy.

– No, jesteście tam? – rozlega się głos Childeberta. I on sam przodem wychodzi, a pacholek mu towarzyszy. – Chodźcie na małą uciechę. Doszliście do zgody?

– Tak – odpowiada tylko Marcin. Milczę. Childebert popycha lekko księdza, a sam pod ramię mnie bierze. I mówi niegłośno:

– Nie w smak ci chrześcijaństwo? Nie przejmuj się zanadto. Czy myślisz, że ja z ochotą Freję i Odyna porzuciłem? Nie, wcale. I swoje myślę. Ale takie już czasy. Kościół daje siłę. Jeśli chcesz zrobić cokolwiek, to tylko z Kościoła pomocą. Inaczej się nie da. Rozchmurz się i po prostu nie myśl o tym. Myśl o sprawach praktycznych. A teraz chodź do izby. Wypijemy i jeszcze pomówimy.

Ciemną sień rozświetlają pochodnie. Jeszcze więcej ich w niskiej, ale obszernej sali, gdzie za długim, zagiętym w podkowę stołem siedzą, a teraz wstają z rumorem towarzysze Childeberta. Siadam po lewej, po prawej zaś stronie gospodarza Marcin się umieścił. Tuż obok usiadł chłopak prawie i nieprzyjaźnie spojrzął. Dalej starsi i młodszy siadają, mówią, po barach się klepią. Podsuwają mi róg w srebrną zatknięty podstawkę. Ktoś potrąca mnie z tyłu i oto pacholek w przód wygięty czerwonym trunkiem naczynie napelnia. Childebert zdrowie króla wznosi. Piję razem z innymi. Potem jak inni szarpię pieczone mięso. Cóż, nie jest to uczta Lucullusa. Ale wino robi jednak swoje. I piwo, które wlewamy w siebie gorliwie. W pobliżu

Childeberta tylko ja i mój sąsiad po lewej jesteśmy młodsi. Dookoła powiewają siwe, kręcone brody, wznoszą się pomarszczone dłonie.

Mój sąsiad coraz to wilkiem spogląda. Jasne brwi i włosy nad czołem rudawe. Skąd mu, skoro tak młody, wysokie miejsce między starszymi? Gość to być może jaki, z równie dostojnego co i Childebert rodu. Na modłę barbarzyńską, oczywiście. Niepewnie jest mi w tym gronie. Język Franków lichy rozumiem. Na szczęście łacina jest tu oznaką poloru. Stąd w moim właśnie języku sławią swoje zwycięstwa. Mówią o Burgundach, Lombardach, Alamanach. Ci ostatni obojętni mi nie są. Oni to zabili mi ojca, uwięzili matkę, majątek spalili. I oto właśnie to, co połączyć nas może: wspólny nieprzyjaciel. Groźny, zacząjony nad Renem. Nie władzy szukający, lecz łupu. Przedziwne: o rzecz mniejszą zabiega, a przecież tym bardziej bronić jej chcemy. Biskup poprze kandydata do korony, kandydata do biskupstwa odtrąci.

My, ludzie kresów, silniej czujemy ojczyznę. I także jej upadek. Mniej tu wspaniałości, kolumn, budowli wyniosłych. Trzeba żyć pojęciem, ideą. Trzeba ich szukać w wieściach ze świata, wśród ksiązek. Skoro już wojska ani granic, ani wieści nawet nie staje, szukajmy dna w źródłach, wieści w wiatrach, a nadziei w śnieżycach. Paktujmy, jednajmy stronników. Walczyć z losem nie można, lecz czy nie można go oszukać?

Hałas się wzmaga. Światła pochodni się chwieją, okiennice w noc szeroko otwarte. Małe kłębuszki dymu odrywają się od czerwonego płomienia, wzdłuż ścian jodłowych się wznoszą, u okna w szarą chmurę się zlewają. Grzbiety okrągłych belek błyszczą, lecz w ich spojeniach jest mrok. Zresztą ciemno jest wszędzie i twarze ludzkie wyblęskują tylko na chwilę, pograżając się znowu w gwałnym mroku komnaty.

I ja zresztą ani milczeć, ani patrzeć obojętnie nie mogę. Ktoś oto pyta mnie, czy przedtem, przed ich przybyciem, Alaman cicho w czarnym lesie siedział. Jakże mi milczeć? Ale jakże powiedzieć: „O, gdybyście trzydzieści lat temu przybyli!” Mówię więc o walce i śmierci ojca, wśród winnic, a teraz zagajników. Jedni przynieśli zagładę, drudzy puszcę na mogiłach wywiedli. Tych, których Frankowie pobili, przemilczam. Nie czas, nie dzień po temu. Mówmy o tym, co łączy, co dzieli, niech będzie zapomniane. Przyjmijmy Wschód, by jeszcze dalszy i zupełnie obcy Wschód odeprzeć. Czyż to wszystko nie jest tylko absurdem? Jaka to krew w moich żyłach chlupocze? Stara, bo stara, wiadomo, lecz jaka? Nie z Italii ród mój przywędrował. Był tu wcześniej, niż legiony Cezara przyniosły na tę ziemię winne pnącza, marmurowe kolumny i miecz. Dziady pradziadów moich słuchali w dębowych lasach druidów. Ja jestem stąd, z ziemi Heduów, Arwernów i Remów. Nigdy nie byłem najeżdźcą. Ale raz już rację najeżdźcy uznałem i imię jego przyjąłem za swoje. Czemu więc nie obrócić historii i zamiast ku światłom zachodu ku jutrzni porannej się nie skłonić? Byli Celtowie, którzy z Rzymem się zesłi; oto Celt, co prawie frankońską ujmuje.

Lecz czyż to się godzi? Że jeden był wybór, to i drugi być może? Czyż kobieta, raz męża wybierając, wybiera, by innego szukać? Lecz czyż tak właśnie nie bywa? Bywa, ale nie zawsze. A zresztą to nie ja, nie ja, to historia rajfurka za niedźwiedziem-barbarzyńcą pobiegła. Czemu więc właśnie ja mam jej grzechy opłacać? A zresztą co mi innego zostało?

Toteż robię już tylko dobrą minę, gdy Childebert puchar pusty ująwszy, o stół nim kilkakrotnie uderza. Gwar ze środka izby odpywa, o belki trąca. I w szczeliny pełne mroku się wsącza. Wiem już, co powie. I nie ja jeden wiem tylko. Bo bardziej na mnie niż na Childeberta spoglądają. On zaś wstaje, o stół się dłońmi zapiera i wodząc głową od krańca po krańec, rozgrzany winem przemawia:

– Dostojna moja drużyno. Szlachetni wojownicy, których toporom oby Odyn chwały i mocy użytył...

Tu Marcin go trąca.

– ...oby Chrystus chwały i mocy użytył. Popatrzcie, a popatrzcie uważnie, bo rzecz ważną przedstawić wam pragnę. Oto gość mój, Claudius Egidius Postumus, dziedzic rodu świętego, krwi Rzymian walecznej. Jego to wuj Galię przed Childebertem dzierżył i z królem



naszym dzielnie wojował. Jego ojciec z Alamanami walcząc zginął. On to sam wreszcie na ziemi tej godnie nas przyjął. I na chwałę Chrystusową dom z kamienia stawiany jego był właśnie pomysłem. On też budowę prowadził, póki murator z Lugdunum nie przybył.

– Ten właśnie Claudius o córkę moją Waltrautę się zwrócił i pragnąc za żonę ją przyjąć, mundium jej u mnie wykupił. Czyż godziło się tak szlachetnemu młodzieńcowi odmówić? Powiedzcież więc sami, czym dobrze uczynił?

Po izbie pomruk przelatuje.

– Dobrześ uczynił.

– Wasza zgoda mnie cieszy – powiada. – A więc proszę was, godni, abyśmy ten dzień uroczysty zaręczyn córki mojej jedynej, jak trzeba, uczcili. I ani na winie przednim, ani na piwie dostałym niech gardłom naszym nie zbywa.

I kielich ku mnie wyciąga. A za nim inni podchodzą i o naczynie stukają. Wypiliśmy i znowu wypili, a podochocony Childebert pieśń jakąś w barbarzyńskim języku rozpoczyna. Widzę, że jeden tylko zdrowia mego nie wypił; ten właśnie, co koło mnie siedzi, chłopak z nikim nie mówiący, o włosach rudawych. Ciekawi mnie to nieco. I obracam się, mówiąc doń wprost:

– Wypij ze mną.

Odwraca się gwałtownie. W jego oczach jest nienawiść. Nienawiść jest na czole, w kącikach nosa, w ustach.

– Czego chcesz?

– Wypij ze mną.

– Żebyś zdechł? Chętnie.

– Kto ty jesteś? I czemu mnie nienawidzisz?

– Na imię mam Gontran. Jestem zaś synem leuda z Metz i sam już królewskim towarzyszem. I nienawidzę cię. A bardziej jeszcze gardzę. A za co, nie pytaj, bo cię mieczem pomacam.

– Co ci właściwie zrobiłem?

– Co mi zrobiłeś? Aa, nawet ci o mnie nie wspomniała. No, mniejsza o to, złodzieju. Żyj sobie i tucz się. A żebyś więcej nie pytał: po żonę tu przyjechałem. Taka jedna, z brzuchem teraz chodzi, znasz ją?

Zrywam się i rękę unoszę. Lecz ktoś w obrocie mnie chwycił i na ławę spycha z powrotem. I ciężkie ręce Childeberta znowu o stół się wsparły. Między nami tym razem.

– Uspokójcie się obaj. Po jaką to żonę, Gontranie, przybyłeś? Czyżeś jej mundium wykupił? Czy ojciec twój przemawiał za tobą? Przybywasz znienacka i wszelkich praw się domagasz. Nie lekce cię ważę i tobie pierwszeństwo bym przyznał. Lecz tyś o niczym nie wspominał.

– Nie udawaj, żeś głupi, Childebercie. Waltrauta mnie nie chciała. A ja nim bym ją prawnem zniewolił, myślałem ją samą pozyskać.

– Nie udało ci się jednak. Kto dziewczki pyta o zdanie? Ze mną mówić powinienes. A teraz już za późno. Klaudiusza pozostaw, o niczym nie wiedział. Zrobił, czegoś ty nie potrafił, i tyle. Ty, Klaudiuszu, także do bicia się nie bierz. Ma on swoje racje i prawo.

Gontran dalej twardo spogląda.

– Mam swoje racje. I powiadam ci, kukło zniewieściała, piękniś w swój nos zapatrzony, że ci jeszcze tę twoją Waltrautę zabiorę. I nosa utrę. Nie zapraszaj mnie więc do picia. A w ogóle dzięki, Childebercie, za wieczerzę. Nie gniewaj się, nie w smak mi ta biesiada.

I puchar pcha, aż winem chlusnęło po stole, i zza ławy wyszedłszy pijących rozpycha, i za drzwiami znika. Childebert oczy zaciska. – Za zniewagę zapłaci – szepce skrzywionymi wargami. Prędko jednak ku mnie się obraca i w uśmiech twarz przyodziewa. Do mnie się obraca i Marcina ramieniem ogarnia. Do siedzącego na końcu stołu siwego mężczyzny ręką macha. Murator, gdyż to on właśnie, podchodzi i nisko się kłania.

– Kiedy kończymy? – Childebert pyta.

– Na koniec decembra zdążymy. Już sklepienie w wiązania się zwiera i głązy ostatnie się podnoszą. Krzyż warto by jeno udatny wyrzezać, no i jakaś figura by się zdała.

– Ale kto ją uczyni?

– Niestety, nie ma już takich majstrów. Szukać by takiego długo i gdzie go odnaleźć, nie wiem. Może w Italii? Naprędcę nic zrobić się nie da.

– Trzeba jednak dom pański przyozdobić – powiada Marcin zatroskany.

– Linią falistą, w zygzaki splecioną, na kołach foremnych opartą wewnątrz obwiedziemy – murator na to. – Przecież, kiedy już kościół poświęcony zostanie, wiele doń jeszcze przydać można.

– O baptysterium także nie zapomnij – Marcin dodaje – potrzebne nam będzie.

– Z tym trochę gorzej. Filary oporniej się wznoszą i do zimy nie zdążę. Zimą zaś robić się nie da.

– To deskami bodaj przykryj od góry. Wiosną ukończysz robotę. A teraz uczuj spokojnie.

Murator jeszcze niżej się skłania i na swoje miejsce powraca. Childebert puchar unosi, a gdy spełniliśmy zdrowie, mówi:

– No, to dobrze, to wszystko w porządku. Pobierzecie się na zimowe gody.

– Na narodzenie Chrystusowe – mówi Marcin. – Szkoda jednak, że figur, postaci świętych tu nie stanie. Ale rzeczywiście, skąd by je zdobyć?

– Murator o Italii wspominał – mówię. – Gdyby ktoś tam chciał jechać.

– Po majstra aż tam się wyprawiać? – Marcin podejrzliwie spogląda.

– Widzę ja cię, Klaudiuszu! – śmieje się Childebert. – Ciągnie wilka do lasu wilczyca natura. Niech cię to nie trwoży, Marcinie, Klaudiusz dobrze mówi i wszystko się nieźle układa. Król często do Teodoryka posły wysyła. Zwykle biskupi tam jeżdżą. Są z tego jednak zawilosci niemałe, bo wprawdzie łatwo takiemu z biskupem rzymskim się dogadać, dwór jednak w Rawennie Ariusza uznaje. Nie sierz się, Marcinie, my go nie nawrócimy, a król to potężny. Może by właśnie Klaudiusz się nadarzył? Ma potrzebną ogładę, a Rzymianin to przy tym rodowity. Chodziło mi to po głowie.

– Niech zaraz po ślubie jedzie. I żonę weźmie ze sobą... Chyba rozumiesz, Marcinie?

– Ale – przerywam – december to już i rozwiązanie blisko. Jakże mogę kobietę w drogę wyprawiać?

– Nie troszcz się o to. Frankonka ona przecież, z twardych ludzi się wiezie. My prawie zawsze w drodze... Nic się Waltraucie nie stanie, a w Rzymie albo Rawennie pod lepszą zleżnie opieką. Dobrze, Marcinie, nowa robota. Trzeba ich jakoś do drogi wyszykować. Pójdiesz w górę, Klaudiuszu; ale jeszcze w górze nie jesteś. I złota pewnie nie miewasz. Zatroskam się o to. Pan taki wielki jechać jak żebrak nie może. No, nie siedź taki skamieniały. Napijże się ze mną.

Rzeczywiście drętwieję. A więc i Roma przede mną. Nie Roma cesarów wprawdzie; nie Kapitol, lecz Watykan biskupów. Lecz poprzez mrok czasów może przebłyśnie złota gałąź z Nemi. Czasu ani historii nie zawrócę. Więc po co myśleć o niemożliwym? Dobre jest słońce Południa i ciepła fala Naszego Morza. Wyjdę z mgieł, z północnych oparów, z nocy reńskich czarów na przejrzyste przestrzenie Latium. I to będzie mój hołd ostatni przeszłości zaginionej. Italia i Waltrauta, na pozór niezgodne, pojednać się mogą. Czyż Rzym nie jest wart chrztu?

Muszę trochę ochłonać. Dziękuję Childebertowi i do domu chcę wracać. Leud jeszcze raz naczynia napełnia. I samego wypuścić mnie nie chce; Marcin mnie odprowadzi i pacholek z pochodnią. Tu jeszcze zostaną i pić będą. A my w noc się zapuszczamy. Tuż za wysokim progiem leży chłodna, obojętna, czysta. Oddycham głęboko i przystaję.

Zaledwie kilka kroków uszliśmy, ktoś biegnie ku nam lekko. Waltrauta. Różowa w świetle pochodni. Oczu nie dojrzeć. Chwyta mnie za ramiona i gwałtownie się przytula. Pyta:

– Wszystko dobrze, prawda?

Uśmiecham się, całuję ją i mówię:

- Wszystko bardzo dobrze. A wiesz, że na Południe uciekniemy?
- Gdzie ty, Klaudiuszu, tam i ja, Klaudia twoja. Tak powinnam powiedzieć?
- O, tak właśnie. A wiesz, gdzie i po co?
- Wszystko słyszałam, Klaudiuszu. Dlaczego już odchodzisz?
- Ciebie na uczcie nie było.
- Na uczyty mężów panny nie chodzą.

Marcin mówi ze śmiechem:

- Wkrótce już będziesz mogła. Czy chcesz z nami odprowadzić Klaudiusza?
- Tylko mały kawałek.

I tak we czwórkę idziemy. Ścieżką w dół i na wzgórzu na lewo. Ścieżką? Nie było jej jeszcze przed rokiem. Oto droga przybyszów. Nie kamienna ani szeroka. W gąszczu schowana, miękką ziemią wyścielona. Zresztą czy to naprawdę ich droga? Czyż nie ja ją dreptałem i słudzy moi? Czyż nie tu chodziliśmy z Waltrautą łowiąc białe nitki jesieni? Orzechy łuskając? Jeszcze chwila, a małą łąkę przeciąwszy staniemy na skraju dąbrowy. Nie mam dziś chęci na ten ciemny i groźny matecznik. Nie chcę w wodzie się skąpać. Skręcam bardziej w lewo, bardziej jeszcze ku górze. Droga nie mniej tu wygodna, a widok piękniejszy. Waltrauta męczy się trochę. Siadamy więc na kamieniach na ramieniu góry, Marcin i pacholek nieco niżej. Milczymy wszyscy.

Gwiazdy. Gwiazdy i gwiazdy, i gwiazdy. Jedne świecą nieruchomo, inne spadają. A milczą wszystkie. Ich odbicia migoczą w wodach całej rozległej ziemi. Daleko w dole widać też światła na ziemi. To już siedziby Alamanów. Wrogów. Ale gdyby to oni pierwsi nadeszli, to kto wie, czy nie siedziałbym dziś z Alamanką patrząc na dalekie światła Franków – wrogów. Lecz co jest, to jest właśnie. I nie pora mówić, że dobrze to czy źle. Nigdy na to nie pora.

Co myśli Waltrauta? Co Marcin? Wszyscy patrzą na gwiazdy. Wszyscy jednak jesteśmy na ziemi i każde z nas jest potrzebne pozostałym. I wszyscy pozostali, jacy są tylko, są potrzebni każdemu. Co za szaleństwo zaufać ceniom!

I cóż znaczy ucieczka do natury. Ludzką naturą są inni ludzie, a głos jest po to, aby słuchających dosięgał. Po cóż wołać do gwiazd, do pustych obłoków albo gdzieś ku Bogu?

Jeśli o pyłku powiesz człowiekowi, to więcej, niż gdybyś o górach opowiedział Bogu albo nicości. Głos jest innych własnością, nie mówiącego wcale.

Wciąż chłodniej, ale nie tak już ciemno. Na niebie podnosi się światło i okrojony w trzeciej kwadrze księżyc odbija się w dalekiej smudze Renu. Pochodnia dawno już zgasła; zresztą już nie jest potrzebne. Góry nie płoną w świetle; ich stoki są ciemne. Ten blask tylko w powietrzu i w wodzie przyćmiewa gwiazdy i kreśli nasze cienie. Pora się rozstać. Wszystko się spełnia, wszystko. Wystarczyło najmniejsze „tak” powiedzieć.

Wiem, nie każdemu to dostępne. Lecz po co myśleć o tych gorszych? Niech oni o nas z pewnością pamiętają.

Przede mną dzieło. Muszę co rychlej mych sąsiadów okrzesać. Muszę prawa ich poznać. Od króla ziemię uzyskać. I zniszczyć Gontrana, który mi groził. Childebert też zestarzeje się rychło. I kto będzie rządził tą ziemią? Frankowie na uczcie mieli bogate szaty, złote pierścienie na palcach, miecze pięknie kowane. Ja nic z tego nie miałem. To przyjdzie, to będzie. A na razie, nim łaska króla na mnie spocznie, trzeba dobrze popędzić czeladź, kolonów i niewolników. Rozpuściłem ich strasznie. Leniwi teraz bez miary. Kij ich roboty nauczy. Jak wiele, wiele do zrobienia. Mówię:

– Marcinie, jutro ci ludzi nadeślę. Niech robota ruszy galopem. Baptysterium piękne niech będzie. Mnie ono najpierw usłuży. O rzeźby także się nie martw. Przepiękne z za gór ci przywiozę. A teraz żegnajcie, sam już wrócę do domu. Żegnaj, Waltrauto, moja Waltrauto. I pokój z tobą, Marcinie.

Marcin kreślił znak krzyża i mówi:

- Pokój ludziom dobrej woli.

Tętnią kopyta. Ich łoskot dookoła. Zbliża się, oddala, wyprzedza. Śmiech i okrzyki. Oszczep jak pstrąg na wodę wypryska. I dłoń go chwyta z powrotem. Pęd płaszcze unosi. Wieją pstrokate, fiołkowe, w barwach seledynu i w kolorach granatu. Wyżej niebo bez blasku, jak zakurzone żelazo. Chmury sine, nieruchome. Ziemia w ciemny kamień zastygła, szronem gdzieniegdzie jaśniejsza. Tylko my lotni, zgrzani, ziemię kopytem, a powietrze oszczepem mijamy.

Daleko nas ciągnie ten jelen. I podejść bliżej nie pozwala. Mignie przed nami, płowy, ledwo widoczny. Gdyby nie psy, dawno przepadłby w lesie. Już i konie ustają. Jeszcze dzwonią kopytami po grudzie, jeszcze tańczą i gnają. Lecz rytm rwie się chwilami. I piana w kawałach spada. Dokąd nas wiedzie, dokąd ucieka? Wytropiony w dolinie, wysoko przez wzgórza, lasy, wąwozy na równinę nas ściągnął. Przez zdziczałe winnice przeleciał. Zważone byliny roztrącił. I do rzeki się zbliża. Biegnie łukami, w pętle bieg zawijając. I kiedy rozpedzone konie naprzód nas niosą, gon psów z prawej dobiega. I kołem nas otacza, zwolniony. Pęd niejednego już znużył. Ale znów miga płowy cień i nasze płaszcze znowu seledynem, czerwienią i fiołkami łopoczą. I znowu pętla. Konia wstrzymuję i w klus lekki przechodzę. Droga jeszcze przed nim daleka. Za parę dni poniesie mnie na południe, za Alpy. Tysiąc i więcej mil ujechać musi. Nie on jeden, to prawda. Drużyna już gotowa, wozy zapakowane, przysposobione wszystko. Sto mil na zachód Childebert nas powiedzie. Potem już sami poprzez ziemię Burgundów w dół, aż ku morzu.

A przedtem ochrzczą i pożenią poganina. W świętej wodzie go mocno wyszorują. Cóż to w końcu poganina obchodzi? Mówiąc prawdę w żadnych bogów nie wierzy. Temu czy owe-mu kadzidło spalić – co za różnica. Kadzidło spłonie, dym uleci. Zapłata w niebie i na ziemi. Wprawdzie wzywałem bogów, lecz dziecko tylko uwierzy, że oni mój żar ugasili. Bogów wzywałem, a przypadek mnie ocalił. Nie ma tu związku ani sensu i szukać go nie należy. Za dobre nie ma nagrody ani za złe kary. Ni losu przewrotności, gdyż Tyche wszystkim kieruje.

Nie doceniałem Kościoła. Znałem misjonarzy – głowy zakute. Ale Idzi, Argentoratum biskup, innym jest całkiem człowiekiem. Umysł to szeroki, otwarty i giętki. Pan wielki przy tym, z rodu starego. Civitatis defensor, który miasto osłoni, grabież powstrzyma, barbarzyńcę pouczy. Teraz w służbie królewskiej. Przedwczoraj do nas zjechał, postawny, strojny, z orszakiem małym, lecz dobranym. Kościół ogląda i pochwali, kobietom ufne słowo rzuci, za stołem do końca siedzi. Lecz nie upija się wcale. I teraz także za jeleniem goni.

Mija mnie nawet. Galopem, bo zwierzę nowy kierunek wyznacza. I ja się podrywam za jego płaszczem zielonym. Nie darzą się te łowy. Goniłem kiedyś sarnę. Uciekła. Lecz teraz wielu nas i na koniach. W gonitwie długiej radość z gniewem się miesza. I dzień w roku najkrótszy do południa dochodzi. Chmury niżej i niżej. Wciąż mniej miejsca między niebem a ziemią.

Jeleń nagim polem przebiega. My szybciej. Jak obłoczek motyli, wciąż kto inny do przodu wybiega. W zagajniczek wpadamy. I znów z oczu nam znika. Nie, stanowczo dość tego. Koń od łupu cenniejszy. Ktoś mnie z tyłu dopędza i konia wędzidłem hamuje. Zwracam głowę. Książę biskup honor mi czyni. Już ze mną się równa. Nie znać na nim wysiłku. Ani szaty nie zmięte, ani koń nie spocony. Wspaniały ogier, wart jeździć.

– Jak się miewasz, Klaudiuszu? Konia, jak widzę, zgoniłeś. Ale to już prawie koniec. Jeleń wkrótce ustanie. Korzystaj, chłopcze, korzystaj, to ostatnie twoje łowy przed wyjazdem. W Italii czasu nie będzie. Okrutnie się pewnie zamartwiasz? Pełno kamiennych bałwanów, a do jedzenia figi i ciężkie wina.

– Dziękuję. Jakoś zniosę te trudy!

– Szlachetna gotowość do poświęceń. I król się pewnie ucieszy.

– Za to mój ojciec by mnie przeklął. A reszta rodziny także.

– Cóż chcesz, mój miły, inne czasy. Dziś nie ma żadnej szansy oporu. Świat teraz szybko się zmienia. Ale, ale, znałem nieźle twojego ojca. Wiem, że zginął. I jak, i kiedy wiem także.

– A wuja też żeście znali?

– Mój drogi, czemu ciągle na Franków się złościś i mnie chcesz szpetnie przygadać? Ostatecznie to nie ja, a ty się żenisz z Frankonką. Cudna zresztą dziewczyna, można ci jej zazdrościć. A do wuja twego wracając, cóż chcesz ode mnie czy od niego? Kiedy walczył Syagrius, wielu jeszcze pamiętało cesarstwo. I Teodoryk w Rawennie nie siedział. Syagrius grał i przegrał. Zwyczajna, choć smutna sprawa. Teraz świat się odmienił. Kto by się zajął moją diecezją, gdyby nie królewska opieka? Widzisz, drogi; gdyby ojciec twój w Boga wierzył i biskupom zaufał, chowałbyś się w Argentoratum, mieście mimo zniszczeń ciekawszym niż te pustkowia i wertepy.

– Miałem tu przyjaciela – mówię – i jego rodzinę.

– Jakiegoż to przyjaciela?

– Dobrego. Arminiusz się nazywał.

– Arminiusz? Arminiusz? Ależ wiem doskonale! Ależ to wariat po prostu, mój drogi, szaleniec. Chciał wojować i z Bogiem, i z królem. Rzadkie jednak, trzeba przyznać, szaleństwo. Więc to był twój przyjaciel? Hm. Nie pochwal się przypadkiem królowi.

– Co ten król umie poza zabijaniem?

– Przynajmniej jaki taki porządek zaprowadził – uśmiecha się Idzi. – Alamanów okiełznał i uciszył. Widzisz, gdyby wcześniej to zrobił, miałbyś ojca do dzisiaj.

– Tak, to prawda – przyznaję – lecz, niestety, nie całkiem uspokoił. Ciągle pilnować się trzeba, ciągle miecz wisi nad głową.

– Cóż robić, pogranicze. W Argentoratum ich pełno. Nikomu jednak nie szkodzą i króla się boją.

– Tu widocznie strach mniejszy. Nie daj wam Bóg wasz jechać samemu tą równiną.

– Po co miałbym jeździć? Myślisz, że mało mam w mieście roboty? Diecezja i bez Alamanów niemała. No, dość już pogawędki, bo wstyd tak się wlec za innymi. Konie odpoczęły, a kres już niedaleko.

I w galop przechodzimy. Zagajnik za nami zostaje, wielka teraz przed nami polana. U jej kresu orszak barwnie błyszczący pod ciężkim niebem z zakurzonego żelaza.

I znowu na bok skręcają, i po wielkim łuku się niosą. Jeleń skręca i ku nam cwałuje. Czy wąż, czy przytomność postradał? Gnamy naprzeciw, aby przeciąć mu drogę. Pędzimy w łomocie grudy, świeście powietrza, w ostrym wietrze parzącym powieki. I nagle za wędzidła chwytam, aż koń na zadzie przysiada. Przedemną wysokim brzegiem smugą lasu przykryty siny Ren, krą ostrą pokryty. Lecz nie czas myśleć. Biskup ostrzej jeszcze obraca. I wprost jak dwa głązy na jelenia godzimy. To zbyt szybkie dla niego lub on zmęczony za bardzo. Nawet stanąć nie zdążył. Dwa oszczepy śmignęły w powietrzu. Jeden nozdrza mu przebił w pysk ugodziwszy, drugi z przodu w kolano uderza. Jeleń potyka się i miękkim ukosem przewraca. Krew tryska z nozdrzy przebitych. I w tej chwili psy go pstrą zgrają okryły. I naprzeciw biegnący towarzysze dobiegli.

A więc jeleni mi nie uszedł. Jego jucha na moim oszczepie. A sarna kiedyś uciekła. Na krótko wprawdzie, na krótko. Jej krew wiele mi dała; co krew jelenia przyniesie?

Frankowie cieszą się i śmieją. Rzeczywiście rogacz jest piękny. I nie poddał się łatwo. Wszyscy z koni zsiadają i koło ścierwa się kupią. Konie pacholki chwytają, derki na grzbiety im kładą. Zdrętwiałem trochę na siodle. Zsiadam i konia odwieść pozwalam. Wesoło i gwarno. Ktoś w róg dmie, choć podle to czyni. Worek z winem się znalazł, za nim drugi podają. Idą kołem po wszystkich na rozgrzewkę i radość.

Teraz mnie obstepują i krzyczą, że wieczór to kawalerski, ostatni. Wieczór zresztą istotnie. Nasze góry w oddali sinieją, wzgórza z chmurami się łączą.

– Śnieg chyba dzisiaj upadnie – mówi biskup. – Piękne będą polowania na ponowie.

– Nie doczekasz tego, Klaudiuszu! – Childebert wtrąca. – Odjedziesz.

– Nie doczekam – przyznaję. I zostawiwszy czeredę ku brzegowi się zbliżam. Ren stanie chyba tej nocy. Lub nazajutrz najdalej. Szara kra środkiem szybko pomyka. Lecz przy brzegach rozpęd swój traci. Ciemne płaty wpadają na siebie, wślizgują się, piętczą. I w dół już nie płyną, leniwie i wolno w miejscu się okręcając. Wciąż wolniejsze i większe. Oto granica świata. Kiedy mróz ją w miejscu zatrzyma, brama Galii pęka. Po lodzie suną cienie wilków i najeźdźców. Pustoszeją niziny. A twierdze Wogezów milkną, zza stali hełmów spoglądając w wybitą bramę fortecy.

I nagle w chrzęst kry i głosy myśliwych wdziera się krzyk. Nie krzyk pojedynczy, krzyk gromady. I z lasu wypadają konni, a piesi za nimi. W futrach, skórach wnoszą oszczepy, miecze, siekiery. Rzucamy się do koni; są jednak zbyt daleko, nieliczni tylko dobiegli. I już nad nami lawina. We wrzawę wszywa się metal. Na ścierwo jelenia nas pchają. Krąg wciąż się mocniej zaciska, krąg z jednej strony otwarty: na ostrą krę Renu.

Zaskoczenie trwa tylko chwilę. A na nie liczyli napastnicy, bo przewagi liczebnej nie mają. Frankowie biją zaś ostro. I nasza służba dobiega. Kto z siekierą, kto z drągiem – z tyłu Alamanów zachodzą. I już chyba rzecz się wyjaśnia: nie my stąd wyjdziemy pobici. Stoję na krańcu pierścienia, w mój krótki miecz uzbrojony. Oszczep w jelenia cisnąłem. Żaden z nas nie ma tarczy ni hełmu, po co tarcza na łowach. Atakuje mnie koniem jeździec groźny nie nazbyt. Lecz koń wielki i siekiera na długim stylisku. Odbijam ją mieczem, a przed koniem się cofam. Na bok uskakuję. W tejże chwili ktoś z naszych konia mieczem po udzie chlasta. Koń szarpie, a jeździec na ziemię leci. Zrywa się z niej natychmiast, zanim uderzyć zdąży. I stoimy naprzeciw o kilka łokci. Chwilę tylko. Alaman skacze i tnie na odlew. Lecz nie trafia, a ja go w brzuch uderzam. Usta szybko, szeroka otwiera, gnie się i siekierę wypuszcza. Wtedy znowu w szyję uderzam. Ciało do Renu spada.

Alamanowie widzą, że niedobrze. Starszy nad nimi swoich skrzykuje. Wokół niego się kupią, naszych niechają. My za nimi postępujemy. Ze służbą się łączymy. Ci nam konie podają.

Alamanowie widzą, że niedobrze. Pierzchliby chętnie, lecz strach im plecy odsłonić. Lecz oto jeden pieszy się odrywa. I drugi za nim. W jary i gąszcze spieszą. Biegają bezpiecznie. Któż by sługi gonił? Jeźdźcy krzyczą coś między sobą. Nacierają gwałtownie. I w połowie natarcia konie zawracają, i pędem przez pola uchodzą. Kilku naszych za nimi. Ale konie polowaniem znużone licho teraz galopują. Wszystko kończy się równie nagle, jak się zaczęło.

Aż dziw, jak nam się powiodło. Ledwie rannych kilku. I pachółków dwóch nam ubili. Ich zaś czterech legło pokotem. I piąty strącony do wody. Ziemia jednak tego krwią splamiona. Nie wiadomo, gdzie farba jelenia, a gdzie człowieka. Sześciu ludzi i zwierzę pod żelaznym zakurzonym niebem, koło rzeki na wpół zmrożonej. Piękne polowanie.

Idzi Childeberta pyta:

– Co to wszystko właściwie znaczy? Przecież oni naszego króla słuchają i przyrzekli posłuszeństwo. Jak to się mogło zdarzyć? Czyżby pokój wypowiedzieli?

Childebert odpowiada:

– Nie, skądże! Po prostu niesforni są bardzo. Nie myśleli jednak, jak sądzę, że tu leuda i biskupa spotkają. Sądzieli, że zdobycz łatwa, a trupy rzeka pochłonie. Możliwe, że to zwykli rabusie, co przy traktach się czają. Straszni oni dla słabych, lecz gdy tylko opór poczują, wnet się cofną uciekając niesławnie. Jak i dzisiaj zrobili. Często takie garstki spotykam i nie lękam się wcale. A odwrotnie, im strachu napędzam. Jeńców nigdy nie chowam. Ale pomówimy wracając; teraz czas nagli. Wieczór zapada, a w domu nieprędko staniemy.

Istotnie, prawie ciemno. To już nie chmury tylko, to słońce zachodzi. I jak się to stało? Czyżby napad trwał dłużej, niż mi się zdało? Po wszystkich widać zmęczenie. I gdy się do

drogi zbieramy, nowy się kłopot wyłania. Jak zabrać i jelenia, i zwłoki? Konie rozbiegły się podczas bitwy i choć juczne mieliśmy ze sobą brakuje ich teraz. Dwa konie związane między sobą jelenia unoszą. Ze zwłokami służby jest gorzej. Przyjdzie chyba cisnąć te trupy. W końcu ludzie biorą ich jednak i przed siodłami kładą. I z powrotem ruszamy. Dość, niestety, powoli, kłusem raczej statecznym. Dłużyć się będzie ta droga. Przed nami lasy, jary, nagie pola. Potem wzgórz skłony, parów i wreszcie dolina. Tam już noc będzie zupełna.

Noc, lecz wcale jeszcze nie późno. Zdamę więc odwiedzić swego „teścia” i dobrze wyspać się potem. Aby jutro w pełni teściem go uczynić. Lecz to jutro dopiero. A dzisiaj długim kowrowodem wyciągnięci, w ziemię zmarzłą stukamy kopytami. W mroku kolory gasną. Nawet krew na reńskim brzegu przestaje przypominać cokolwiek. Nasze płaszcze zszarzały, twarze też źle widoczne. Znów jak w moim srebrnym zwierciadle, gdzie sylwetka tylko i kontur; niewiadome, nie do rozpoznania. Tam srebro szerniało, tu zakurzone żelazo. Srebro albo żelazo. Co za przeskoczenie! Między nimi brząć by powinien. A złota dawno nikt nie oglądał. Ze złota początek. Aurea prima! A ja ze srebra do żelaza. Lecz cóż za zmiana, skoro jedno i drugie nieczytelne?

Przede mną dwóch jeźdźców. Wiem kto, lecz nie widzę. W słońcu płaszcz Idziego zielony, Childeberta fiołkiem się mieni. W mroku oba jednakie. Konia lekko popędzam i do nich się zbliżam. Słyszę, o Alamanach mówią. Wydarzenie było wprawdzie niewielkie. W skali naszego czasu. Wciąż ktoś kogoś napada, rabuje, zabija albo ucieka. Łatwiej zdobyć na innych, niż samemu cokolwiek uczynić. Taki czas, że bogactwo nie rośnie, to zaś, co się ostało z lat dawnych, wciąż wędruje z rąk słabszych w mocniejsze. Stąd właśnie i posągów szukać nam za Alpami, chociaż nie wiem, czy je tam wynajdę. Stąd też pisarstwo zginęło, powtarzając jedynie bez końca rzeczy przez mistrzów zostawione. Nic nowego z ludzi się nie wycisnie. To, co jest, jeszcze raz kółkiem obejdzie. Coraz bardziej kalekie, wytłoczone. Tak rzeczy i idee postać własną tracą, obracając się w kontur zamglony. I w zwierciadłach twarzy nie rozznają.

– Ludzi zbiorę – Childebert mówi – i okolicę przetrząsnę. Rabusiom się do skóry dobiore. Mimo zgody, pokoju i rozejmu trzeba ciągle ich uczyć rozumu. Zresztą lubię to nawet. Miecz w pochwie nie pleśnieje i ludzie nie gnuśnieją.

– To z takiej właśnie wyprawy Alamana przywiozłeś, któregoś pod fundamenty ofiarował?

– Z takiej. Ale to nie był Alaman. Got-misjonarz się nastroczył.

– Misjonarz? – pyta biskup z niepokojem. – I tyś go zabił?

– Uspokójcie się, biskupie – powiadam – to arianin jedynie... Zabić takiego – Bogu to na chwałę.

Idzi pochyla się na koniu i w twarz mi zagląda.

– Przykazanie boże jest wyraźne: nie zabijaj. Ale Chrystus i miecz przyniósł na ziemię. I siejące zgorszenie członki rąbać przykazał. To też było wyraźnie powiedziane.

– Więcej chrzczonych gnębiecie niż niewiernych. Jakby Kościół na siebie się zawzwał.

Idzi roześmiał się.

– Walka z pogaństwem wygrana. Arian zaś tępić należy. Nie dziw się temu, Klaudiuszu. Wróg jawny, błąd oczywisty łatwiej zwalczyć się dają. Gorszy jest prawdy pozór. Ten może wielu oszukać.

– No – mówię ze śmiechem – nie tylko oszukać, lecz i was jako błędnych przetrzebić. Mówicie o niebie, a obchodzi was ziemia. Jakby królestwo Boga z tego było świata.

– Świat także przez Boga został stworzony, a że w grzechu uwiązał, to rzecz inna. Pytasz, czym lepszy katolicyzm od Ariusza? Tym właśnie, że zarówno niebo, jak i ziemię uznaje. A w Chrystusie i Duchu Świętym ten pomost, który z nizin ku szczytom prowadzi. O cóż Kościół walczy nie tylko z arianami, lecz i z manicheizmem, i sekt wielu natłokiem? O to właśnie, aby środka i spójni nie zgubić. Wschód to gwałtem niebo od ziemi odłącza i ziemię podeptać się stara. I taki świat chce utworzyć, na którym żyć już nie można. Można tylko dobrze

umrzeć. Ale Chrystus przed śmiercią żył i misję swą śmiercią zakończył, a nie rozpoczął. Klucze Piotrowe dwa są i o tym pamiętać należy. To cię zresztą cieszyć powinno, że z głupstw pogańskich właśnie słodką esencję czerpiemy.

– Jakąż znowu esencję?

– Złotą, złotą, mój drogi. Złoty środek to największe Rzymu dziedzictwo. Wschód go pojąć nie może, my jednak wiemy, co znaczy: jako na niebie, tak i na ziemi! A stąd Kościół nie ufa gorliwości zbyt wielkiej. Co się w swoje przeciwieństwo obraca.

– A to wszystko służy wam, biskupie, aby z możnymi paktować i od nich wyniesienia żądać. Gdyby diabeł na tron wstąpił, też byście racje stosowne znaleźli.

Idzi nic nie powiedział. Zresztą kłus nasz nierówny słowa łatwo rozrywa. I zabawne to nawet. Pan dostojny o geście szerokim, bystry w słowach, w odpowiedziach nie spieszny, kiedy koń go ode mnie oddali, jak niemowa w mroku zanika. Teraz znów strzeamię w strzeamię cwałuje. I powiada:

– Powiedziano także, żeby dawać cesarzowi, co cesarskie. Jeszcze nie rozumiesz Kościoła. Kto Chrystusa pomniejsza, ten światu krzywdę czyni. Cóż wtedy świat z ogromem Ojca pojedna? Nasz ludzki mały świat plewą dla jego mocy. I Kościół dla ludzi walczy o równowagę między tym, co widzialne i niewidzialne. Źle to, że na samym wstępie, nawet chrztu jeszcze nie dostąpiwszy, ku błędom ucha nakłaniasz.

– Żartujecie, biskupie Idzi – mówię – gdzie bym ja w takie subtelności wchodził. I bez dowodów wam wierzę.

Nie rozchmurzył się jednak. I głową pokręcił, i usta odął.

– Też niedobrze – powiada. – Gorze letnim, biada obojętnym. Często prawda na subtelności polega. O włos chybisz i już w błędach grzęzniesz, i piekło niedaleko. Przy tym nowych czasów nie rozumiesz. Nowy czas w nowych sporach się sprawdza. Starych rozstrzygać nie trzeba. Któż dziś troszczy się, czy lepiej wróżyć z wątroby, czy z lotu ptaków?

– Czy to samo i do wiary świętej stosujecie?

– Nie, bo ta jest prawdziwa. A więc także ostateczna i nieśmiertelna.

– A jednak trochę to smutne, co mówicie. Po to tylko się trudzić i myśli swoje motać, by ktoś inny na nowo, odmiennie zaczynał.

– Cóż chcesz, mój drogi. Wszystko w świecie jest sprawą wiary, nie rozumu. Nic bez reszty dowieść się nie daje. Można tylko uwierzyć, a wiary starej poniechać. A to dlatego, że wszystkie prawdy wobec Boga nicością są tylko.

Tak gwarząc przez pola kłusujemy. Czy to jednak konie zmęczone, czy też przedtem gonitwa nas krzepiła, droga teraz się dłuży. Ledwie doły parowu mijamy, a już nowy przed nami. Las i pola, polany i wzgórza. Tych wciąż więcej. Gór jeszcze nie widać, lecz już czuć je pod stopą. Konie teraz znów wolniej. Nam już także rozmawiać się nie chce.

Jutro Chrystus mnie weźmie w opiekę. A tu Idzi za oporność mnie karci. Nie bez racji to czyni. Wprawdzie nie dbam o bogów, lecz też zawsze ich brałem dość lekko. „Biada letnim” – mówi. Ale któż mnie letnim uczynił. Czyż Bóg, jeśli jest, nie wie o tym, że sam mnie do chrześcijaństwa zniewolił? I wyboru żadnego mi nie dał, bo nie rozum mną tylko kierował, ale wszystkie zmysły mnie parły, abym posiadał Waltrautę. Gdzie się miałem schronić, o co oprzeć?

Kamyk lawinę pociąga. A za co ten odpowiada, co kamyk cisnął? Za kamyk czy za lawinę? Ale po co rozmyślać? Wszystko to już poza mną. Lawina runęła i większą część drogi przebiegła. Już tylko czekać przystoi. Właściwie los się już spełnił. Pozostaje szatą się przystroić.

Pierwsze wzgórza mijają. Następne, wyższe przed nami. Jakby ziemia sił próbowała, aby potem wzbici się potężnie. Wciąż ich więcej. Już nie można pobłądzić ani drogi wybierać. Góry ku jednej drodze nas spychają. Potok jeszcze żywy tędy przebiega. Wokół jodły i buki coraz bystrzej wzwyż biegną. Teraz stromo. I przelecz. Tu na krótko stajemy. Ćma wokół.



Childebert klaszcze w dłonie. I natychmiast podjeżdża pachoł tęgi.

– Jak twój koń? – pyta.

– Trzyma się jeszcze.

– Poleć więc galopem do domu. Zmarznięci srodze przyjedziemy, niech więc stawę gorącą zaraz na stół stawiają.

– Śnieg chyba spadnie ten nocy? – mówię.

– Będiesz miał jutro dziewiczej białości krzyżmo – roześmiał się. – Zupełnie jak król Chlodwik – dodaje poważniejąc.

– No, to niech się spełni! – wykrzykuję i pierwszy z przełęczą zjeżdżam. Stąd drogi zaledwie godzina. Godzina, co najdłużej się wlecze. Już nie kłusem, ale stępą ciągniemy. Krętym, stromym wąwozem ponad wzgórza i pola. Konie wreszcie zarżały. To w dolinę Arminiusza wjeżdżamy. I już tutaj w nieruchomym powietrzu dymem pachnie. I spomiędzy zakrętów widać już pierwsze światła. To siedziby ludzi Childeberta. I jego domostwo nad nimi.

Jestem zmęczony. Strasznie zmęczony. Niech się ten dzień zakończy. Byle prędzej spać. Jeść i spać. Spać bardziej niż jeść. Ledwie na siodle się trzymam. Inni chyba równie zmęczeni. Ale oto drzwi się otwierają niejedne. Biegają ku nam kobiety i służba. I ledwie konia od dałem, już mnie ciepłe chwytają ramiona. Śmiech powietrze rozświeca.

– Więc naprawdę w Ren go zepchnąłeś? I do walki pobiegłeś? Koniem na ciebie nacierał. Łajdak, niech go ryby zeżrą. Jak strasznie się cieszę! A mówiłeś, że wojownikiem nie jesteś. Widzisz, jaki dzielny mój Klaudiusz?! Mój Klaudiusz!!

Childebert do nas podchodzi i ze śmiechem także mnie chwali. I do domu wchodzimy. Cóż mężczyźnie lepszego? Waltrauta moim dzieckiem brzemienna krząta się dookoła. Miecz odpina, płaszcz ściąga i włosy moje przygląda. I do izby biesiadnej prowadzi. Przed rozstaniem przygarniam ją mocno. Będzie przecież moją towarzyszką na lata. Będzie brała mój miecz, moje dzieci kołysała na rękach. A za kilka już dni ruszy ze mną wozem ciepło, miękko wyścielonym do słonecznego Latium. Uciekniemy przed mrozem, zostawimy północ za plecami. Nie wiem, czy pojmie dawną chwałę świata. Ale ujrzy ją razem ze mną.

W izbie gwar, lecz niegłośny. Wino wkrótce języki ożywi, lecz na razie zmęczenie tu rządzi. Nie pilnując miejsc swoich w nieładzie, byle jak na ławach siadamy. Jem milcząc. Często tylko próżny róg do nalania podsuwam. Zapadam w lekki półsen. Waltrauta prawdę mówi. Dzień jak mężczyzna spędziłem. W życie gęste jak miodowa patoka wszedłem poprzez dzień pełen galopu, okrzyków, krwi i mrozu. Wkrótce do domu ruszę, na ostatnią samotną noc.

Czyżbym teraz już przysnął? Ktoś za ramię mnie ciągnie. Marcin do mnie się śmieje i od stołu odciąga.

– Nie śpij, Klaudiuszu – mówi – nie uchodzi. Teraz zaś Childebert cię prosi, żebyś zechciał odejść na stronę.

– Co się stało?

– Ależ nic. Przecież jutro dzień święta. Bóg się rodzi tej nocy. I ty też masz się zrodzić w wodzie chrztu. Zrodzić po raz drugi. Na prawdę i na wieczność. I ślub masz, i wesele. Nie czas pić ani drzemać.

– Przecież wszystko już ustalone. Szaty gotowe i porządek święta wiadomy.

– Toteż krótka będzie rozmowa. No, nie marudź i ruszaj.

Sen otrząsam, jak koń śnieg z grzywy strząsa, i za Marcinem wychodzę. Sąsiednia izba mniejsza; gwar prawie tu nie dobiega. Ale za to na stole smukła amfora stoi smołą od góry zalana. Childebert śmieje się głośno.

– Ależ się w ziemię zaparłeś! Tu zaś lepszego coś mamy. To italskie, z południa naczynie. A w nim nie woda, myślę. W zacnym gronie napełnimy się słońcem.

I sam wino nam leje. Niezbyt ono słońce przypomina. Chyba słońce wieczorne, gdy na wiatr, wąską chmurą przecięte zachodzi. Puchar płaski, szeroki. Wącham napój. W rozedrga

nym zwierciadle widzę twarz swoją w czerwieni. Jakby w krwi unurzana. Dno odbicie zniekształca. Głowa brzegiem naczynia jak toporem przecięta. W oczach krew. W ustach, w uchu. Bucha z włosów i czoło zalewa.

– Czerwona jak krew sarny – mówię głowę unosząc.

– Chciałeś rzec: jucha jelenia? – gospodarz się dziwi. – Toć jelenia dzisiaj żeśmy zgonili. I pierwszy go trafiłeś! Czyżbyś zwierząt rozróżniać nie umiał?

– Jak nie umie, to go szybko nauczysz. I za łowy udane wypijmy – Idzi mówi i puchar unosi: śmieję się razem z nimi. I kroplę Dianie ulawszy piję. Za podróż i za łowy. Za sarnę i winnice italskie. W winie lekka gorycz. I zapach jakby ziemi po deszczu.

– Dobrze? – Childebert pyta. – Nie rozsmakuj się tylko zanadto, bo w Italii go wiele. A jeśli lepsze gdzie spotkasz, to i nam przywieźć nie zapomnij.

– Dla króla – listy, dla ciebie wino, a świętości dla Marcina. Nie zapomnę na pewno.

– Nie dla mnie rzeźby – Marcin przeczy – a dla kościoła, dla Boga. Dobrze, że o nim pamiętasz.

– Pamięta – Idzi mówi powoli. – Pamięta, lecz o jakim?

– Nie rozumiem. O czym mówicie, biskupie?

– No to powiedz, co z winem robiłeś, Klaudiuszu?

– Co robiłem? No, chyba piłem!

– A mnie się wydawało, żeś na ziemię strącił drobinę. Czy ci ręka zadrżała?

– Aa, to o to wam idzie. Mówiliśmy o łowach, więc...

– Więc pogańskim diabłom ofiarę złożyłeś!

– Dostojny panie – Marcin szybko się wtrąca – toć on nie ochrzczony jeszcze. Dzisiaj jeszcze w demonów on mocy. Nie sroście się nad miarę. Zresztą przyznaję z żalem, że nie jeden Klaudiusz to czyni. Także chrześcijanin wielu stare gusta uprawia. A często bez złej myśli. Zwyczaj we krwi im został.

– Klaudiusz nie jest prostakiem – Idzi mu odpowiada. – Jakże mu więc pobłażać? Lecz cóż, woda chrztu i ten grzech z niego zmyje. A ochrzczę cię jutro i z Waltrautą pożenię. Komu właściwie ofiarę składałeś?

– Dianie.

– Czy dla niej właśnie osobliwą cześć żywisz? To w naszych ciemnych borach demon groźny szczególnie. Więc wielbisz panią łowów i księżycą.

– Ależ nie. O jeleniu myślałem.

– No, dobrze. Skądinąd trzeba i temu zapobiec. Jakaż wielka praca przed Kościołem! Ludzi chrzcic nie wystarczy. Bogu poddać musimy wszystkie czynności. Sen i jawę. Ręką dzierżącą sprzęt wszelaki. I chleb, i miecz, i sierp. A do ciebie wracając: wszystkiego musisz się odrzec. No, powiedz, w jakie to diabły wierzyłeś?

– Nie wiem, czy to są diabły. Myślę, że raczej wcale nie istnieją. Dla mnie są to, jak to powiedzieć... znaki, imiona?

– Diabły nie muszą być w smole. Wystarczy, że w duszy istnieją. Więc kogo wzywałeś?

– Wszystkich po trosze. Ale głównie Jowisza z Kapitolu.

– Dobrze. A gdzieś to czynił? Do Rzymu stąd daleko.

– Klaudiusz znacznie bliżej chodził – Marcin wtrąca. – Tu na górze są dęby. A wśród nich koło źródła ołtarz kamienny.

– Tam ofiary składałeś?

– Tak, tam je składałem.

– No, mój drogi, nie tak to groźne diabły czy bałwany. Damy im radę. Po prostu wytnie się trochę drzew, a źródło zasypie. Sam nas rano zawiedziesz.

I moja twarz, moja piękna twarz spada w głąb. Bryły zmarzłej ziemi na nią sypią. Usta krztuszą się ziemią. Już jedno oko zakryte. Drugie pełne strachu i przekleństwa. Ostatnia pa-

mięć świata. Krztuszę się, ani wypluć, ani przełknąć. A na trupie ostatnie Westalki tańczą. I mój trup skacze wesoło. I dęby na grób zwalają.

– Nie, biskupie. Nic z tego. Ochrzczę się, ale nie tkniesz ni dębów, ni źródła. I nie mieszaj w to diabłów ani Boga. Bogu nic do tego.

Idzi patrzy na mnie nieruchomo. Patrzy długo, głową kiwa. W końcu ramionami rusza.

– Napisano: „Nie będziesz miał cudzych bogów przede mną”. To nie ja napisałem, Klaudiuszu. No, jak chcesz zresztą. Dębów ani źródła ci nie tknę. Tobie także nie zrobię nic złego. Cóż mi szkodzi jeden poganin? Słaby i samotny do tego. I tak nie zgorszy nikogo. Żyj więc, jak ci wygodnie. Ale chrztu ani ślubu nie będzie.

– Co? – Childebert gwałtownie przerywa. – Ślubu mu nie dasz? Oszalałeś? W tej sytuacji?

– Przecież sam słyszałeś, co mówił.

– Nie chce się ochrzcić, to nie. Ale ślub możesz mu dać. I poganom ślub dają.

– Do niedawna tak było, ale teraz prawo surowsze.

– To się i bez ciebie ożeni.

– Ani król, ani Kościół nie uznają małżeństwa.

Childebert zwiesił głowę. Oczy od krwi ma ciemne. A ja widzę ziemię, która żywcem mnie dławi, i dęby, co kości mi łamią.

– Słuchaj – Childebert mówi. – Chrzest mnie nic nie obchodzi. Możesz sobie, Klaudiuszu, w co chcesz, wierzyć. Ale córkę mi uwiodłeś. I musisz się ożenić.

– Niczego tak nie chcę – mówię. – To on mi ślubu odmawia.

– Nic mnie to nie obchodzi. Zrób tak, żeby się zgodził.

– Nie mogę, Childebercie, nie mogę. On żąda za wiele.

– Słuchaj, ty – to brzmi jak szczeknięcie – masz czas do jutra. Rano, o świcie, czekaj mnie. Z ludźmi przyjdę. Oni siekiery wezmą. I będą rąbać las albo...

Wstaję. Childebert z dębu wyrzezany, Idzi uśmiecha się. A Marcin usta otwiera i zamyka. Staję, a potem nagle do drzwi się zwracam. I na dwór wybiegam. Mrok, zimna noc. Ich Bóg się rodzi.

Żart. Jedynie żart. Żart i śmiech. Pusty wiatr kłębem kurzu igra. Ludzki rozum nic tu nie poradzi. Przecież wszystko już było gotowe. Wozy napakowane, konie ostro podkute. Miejsiące przygotowań! Tyle pracy i pieniędzy. I to wszystko byle słowo wstrzyma? Słowo? Tchnienie wiatru, nawet nie rzecz, nie kurz nawet, nic.

I właśnie w nim jest władza. W nim siła największa. Ono zmienia arkadię w pustynie, ono pnie się w kolumnach ku gwiazdom. Ono, wedle chrześcijan, wszelką moc z nicości wywiodło.

Siła średnia i duża we własnej chodzą postaci. Są w złamanych podkowach i dźwiganych ciężarach. Lecz moc wielka wkłada krajkę nicości. I tak ze wszystkim pono? Świat w kręgu ludzkich oczu da się w liczbę przemienić. Da się zważyć, pomierzyć, nazwać. Lecz poza widnokretem kształty znajome, barwy i ciężary uwalniają się z poddaństwa. I już ich nie poznamy. Jak przyjaciela, który do krajów obcych wyjechał, cudzy obyczaj przyjął i w obcym stroju chodzi.

Lecz to właśnie chrześcijańska nauka. Obca krajom Zachodu. Może plemię potomków za własną ją uzna. Lecz cóż mi do potomków? Tu wozy spakowane i konie podkute. Lecz ja dalej zajdę. Dokąd – nie wiem. Ale ani wozem, ani konno.

Co jest tam, gdzie wszyscy odeszli, ale żaden nie wrócił? Różnie o tym mniemają. Myślę jednak, że nic tam nie ma. Głosu ani echa. Oblicza ani jego odbicia. Przecież odchodzą tam najbliżsi nam. I żaden nigdy nie odezwie się stamtąd! Czy tacy obojętni nagle? Czy bezsilni? O nie; tam nie ma ich; tam nie ma nic – nie ma żadnego „tam”. Wszystko jest tu: klęska i triumf, i miłość, i gniew. Wszystko, co na ziemi, na niej jest tylko. I nasza śmierć na niej jedynie. I tych kilka godzin, co przed nią, co przede mną.

Po co ginę, dlaczego umieram? Czy nie lepiej cofnąć się, pogodzić? Nic jeszcze nie stracone. Gdy spotkam Childeberta, powiem mu: „Kłóciliśmy się, czy tak? Nie pamiętam dokładnie. Dobrego wina dałeś, zbyt dobre nawet było. Chodźmy rąbać dąbrowę, z dębu kołyska będzie. A woda wszędzie dobra”.

Bo czemu, za co ginę? Za dęby może i wodę? Nie. Frankom one nie wadzą. Childeberty córki mścić pragnie. Więc za krzywdę Waltrauty? Przecież kocham ją. Chcę, by dobrze było i szczęśliwie. Lecz tego i Childeberty pragnie. Biskup Idzi też podobne ma zdanie. A więc wszyscy podobnie sądzimy?

Zginę bez chwały. Bez pamięci. Bez legendy i pieśni. Zginę, bo dziewczynę uwiodłem. Nic nikomu z tej śmierci nie przyjdzie. Dla nikogo nie będzie oparciem ani wzorem. Ginę nie z czynów, ale ze słów. I słowa właśnie mnie pomina.

Byłaby to przewrotność, gdyby świat był rozumny. Lecz nie jest. Stąd też nikt mnie nie sądzi. I moje czyny nie są dobre ani złe. I wszystko, co uczynię, jeśli potrafię to ukryć, będzie jednako niewinne. Więc jaka racja mojego upadku? Achilles wybierał śmierć za sławę. Ja śmierć i zapomnienie. Więc po co, po co?

Ten głos, co z samej głębi, ledwie szept, mówił „nie”, skądże siłę zdobył teraz? Ginać, aby głosu usłyszeć?

Zdrętwiała mi ręka. Podnoszę się z łoża; cały zastygłem. Jak w kamieniu – krew z trudem przeciera sobie przejścia. Przechodzę przez komnatę, zawracam. Krażę teraz między ścianami. Pochodnie dwie płoną w rogach. Broń płomyki odbija. Miecz ze ściany zdejmuję. Ostry, zwiny, ozdobny. I wiem go z powrotem. Jeszcze mam czas. Jeszcze czas. Drzwi skrzypnęły, Atesmerius pochylony wchodzi.

– Przecież spać ci pozwoliłem.

– A ty czemu nie śpisz, panie? Toć dzień cały na koniu spędziłeś. Jutro zaś spać ci nie przystoi!

Na rękach mnie nosił. Zawsze był. Wszystko rozumiał. Podchodzę i za barki chwyciwszy, do piersi przytulam. I zaraz żałuję, bo na twarzy ma zgrozę.

– Panie Klaudiuszu, co się stało?

– Nic ważnego, mój stary.

– Nie kłam, mnie nie oszukasz.

– Wiesz co? Przynieś wina i napijmy się obaj. A potem spać pójdziemy. – Jakże mu drżą ręce, gdy napój nalewa. A wzrokiem pyta i pyta.

– Sądzisz – mówię – że mój ojciec źle zrobił walcząc? Że nie zginąć powinien, lecz uciec?

– Czemu stare dzieje, panie, wspominasz?

– Bez specjalnej przyczyny.

– Nie mówisz prawdy!

– No, nie mówię. Po co ci to? Sam się dowiesz niedługo.

Lecz i mnie trudno ton lekki zachować, i on ciśnie mnie bardzo. Więc mu sprawę wykładam dokładnie. Słucha mnie ze zdumieniem i trwogą. Po czym zrywa się, krzyczy:

– Chcesz ginąć dla kawałka drzewa i garnka wody? Szalony! Jeśli nie chcesz się ochrzcić, to przynajmniej uciekaj. Natychmiast. Przecież wszystko gotowe. Póki czas, póki noc. Ujędziemy kawał, nim tu przyjdą.

I do drzwi biegnie.

– Czekaj – wołam. – Nie będę stąd uciekał. Nie ujdę bez Waltrauty. A zresztą – dobry stary, dokąd można się schylać? Po co schylać? Aby podnieść się znowu. Ale teraz tak głęboko się kłonię, że nie wstanę już, ale upadnę.

Ale on nie ustaje w zabiegach. Czemu mu powiedziałem? Czemu spokój tej nocy niweczy? Siłą za drzwi go pędzę, a on siłą powraca. I o koniach, ludziach, pieniądzech wciąż powtarza. Już mnie zmęczył. Zresztą sam od ściany do okna i od drzwi do ściany wędruje. Chwili spokoju! Dzień cały na siodle. Teraz zaś miast w dostojnym milczeniu godziny liczyć ostatnie, muszę trawić je w kłótni. W końcu proszę:

– Idź więc, konie osiodłaj, z wozów wybierz, co w drodze się przyda. A mnie zostaw samego na razie.

– Ale, panie, będziesz się ratował? Nie dasz się zarznąć jak owca? Przecież oni nawet nie wiedzą, co robią!

– Jeszcze zobaczymy, kochany. Na razie zostaw mnie samego.

I znów po tej stronie drzwi, sam. Może to i nieźle, że spór wypełnił nieco czasu? W końcu czemuż mogą służyć te godziny? Co w nich ustalić, przygotować, uwieńczyć? Nic – lecz któż wie, czy życie nie jest tylko uczuciem czasu. Czasu między jednym a drugim. Czasu – odległości. Czyż życie nie jest spacerem po odległościach, im dłuższych, tym bardziej męczących?

Cóż, trzeba się uzbroić. Nie darmo uczyli Epiktet, cesarz Marek, Seneka. Niech kurz i zar drogi dla nas nie będą. Niech nic, co z widowiska jest, do duszy się nie wedrze. I człowiek, co nad śmiercią swoją i bólem rozpacza, jest jak ten, co w teatrze z Medeą płacze, z Prometejem męczarnie znosi i z Edypem się oślepia. To tylko chory na umyśle czuje w swym boku dziób, co na scenie szarpie krwiste płaty wątroby, a przed żółcią umyka. A więc i mój los widowiskiem jest tylko, i mnie skrzywdzić nie może. Miecze to i topory z drzewa, z rdzenia bżowego uczynione. Krew z soku jagody. Miłość węglem krzywo nakreślona. Cóż mi w tym los uczynić może?

Tak uczyli mistrzowie. Tak świat we mgłę obracali. Tak warstwę snu warstwą złudy przekładali. Chronili, watą otulali. Nauczyli, że snem to i widowiskiem, co nam czynią, i snem także, co my uczynić chcemy. I sami w sen się obracamy. Nie w bogów sen, ale w sen nicości. Ale sen wszelako.

Nie, nie uwierzę wam, nauczyciele! Nie dam zamienić swego życia w igraszkę z waty i cienia. Nie oddam swojego życia, swojej śmierci, swojej męki i bólu. Moje ludzkie serce bije

przeciw wam. Czciociele bogów, nicości czy harmonii – odtrącam wasze dary. Ważniejszy jest mój protest, choćby go nikt nie usłyszał, choćby był cichszy niż pisk myszy, którą rozgniała okute koło. Więcej waży bunt najlichszy, bo on panowania i trony obala.

Jakaż nicość, skoro coś się staje? Jakaż harmonia, kiedy bunt? Jaki bóg ośmieli się przyznać do tego świata? Do okna podchodzę i okiennice otwieram. Cała przestrzeń wypełniona śniegiem. Pada powoli, cicho, w wielkich płatach. Już gałęzie jodeł ugina. Jutro dzień wstanie w czerni i bieli. W czerni jodeł i w bieli śniegu. Pięknie będzie się szło do dąbrowy! Chociaż Frank nagły jest w gniewie. Po co miałby mnie aż tam prowadzić? Biskup pewnie go przestrzegł, aby zabił, lecz ofiary nie czynił. Może zadrwić z nich jeszcze? Udawać, że się godzę i do źródła przywieść drużynę. Tam dopiero decyzję oznajmić? Sprawię, by: „agone?” spytali i samemu „hoc age” odpowiedzieć.

Ale cóż mi to wszystko. Mijam. Mijam i nie żałuję. To znaczy: ach tak, żałuję wielu rzeczy. Co za żal, ginąć tak nikczemnie przez omyłkę niemal. Żal Waltrauty. Czy będzie płakać? Co się z nią stanie? Prawda, ma Gontrana, Ten ją kocha, przyjmie i wybaczy. Żal jasnego powietrza gór. Pierwszego śniegu spokój niosącego duszy. Żal dnia, który od jutra zacznie rosnać. Piękna dolina Renu. Kiedy w wodzie drugie niebo oglądasz i chmury, zda się, o ławice piachu zawadzają. Szkoda to rzucać.

Szkoda Kapitolu i sześciu pagórków pozostałych. Od Palatynu po Caelius. Jakież jednak asilum znalazłbym tam ja – zdrajca? Gdybym dęby wyciął nie po to, by je marmur zastąpił, lecz zwyczajnie, ze strachu? Jest Skala Poppei, lecz nie będzie Przepaści Klaudiuszowej!

Więc jednak żal. I ciało nie chce umierać. Woła o sen, o pokarm, o kobietę. Woła o leśne gonitwy, o gorące powietrze lata. Takie nieciekawe miałem życie. Wśród barbarzyńców, na skraju gór, bez uciech i rozrywek. Żyłem – po nic właściwie. A mogłoby być lepiej. Już się mgły unosiły i słońce wyglądało. Ale trudno. Niechże się spełnia.

Zimno się robi, zamykam okiennice. To głęboko śmieszne, że nawet w obliczu końca ciało nie zawiesza swych pragnień. Jest zmęczone, chce pić, zimno mu. Ależ to wielki triumf istnienia nad nicością! Istnienia, które śmierci nie uznaje. Tamta strona nie rządzi tą. Jest tylko czystym przeczeniem. W rachunkach się nie mieści. Lecz też wszystkie rachunki – prawda to – unicestwia.

Wina sobie nalewam. Piję, wszecz komnatę przechodzę. No tak. Nazbyt spokojny nie jestem. Boję się tego końca. Boję się, lecz nie ustąpię. Myślę nawet, czy istotnie jestem zaskoczony. Czy gdzieś w głębi nie wiedziałem, nie czekałem, że tak się właśnie zakończy? Czyżbym nie był dosyć przenikliwy, by pomyśleć, że przy chrzcie dęby zechcą obalić?

A małżeństwo chrztu wymaga koniecznie? Zaś małżeństwem miłość z sarną się zakończy? Ach, wiedziałem to. Wiedziałem. I jak pływak byłem, co prądowi daje się chwilę nieść wiedząc, że gdzie indziej zmierza. I już wiosną, gdy Waltrautę spotkałem, los mnie „agone?” spytał, i już wtedy „hoc age” odpowiedziałem. Nie, to nie tak widziałem, jak to wino, stół, ściany oglądam. To raczej jakby echo nadciągało zza wzgórz, skórę marszcząc. Jak dalekie odbicie ledwo słyszalne, ledwo widoczne, ale rzeczywiste. Gdyż człowiek tylko w odbiciu, echu, zwierciadle istnieć może. A zwierciadła i echa dawno mi powiedziały...

I kochając Waltrautę, polując, zwierza goniąc i do drogi się zbierając wiedziałem. I czekałem na sygnał. Na ten dźwięk spod ziemi, spod oblicza wypadków. Głos, co powie „już dość”. I załamie się wszystko, jak wzdęty na wiosnę lód.

Albo też kłamię sobie. To dziś o sygnałach tajemnych, głosie, losu odplatach prawię. A tego nie ma. Są tylko wydarzenia bez związku. I przypadek tajemnie panujący nad światem. Pięknie by to było wchodzić z losem w konszachty. Otrzymywać, dawać... Lecz to tylko złudzenia.

Gwałtowny hałas w sieni. Drzwi omal nie wypadną z futryny. Czyżby mój teść się pospieszył? Ach, nie! Waltrauta byle płachtą omotana i Atesmerius za nią. Pędem we mnie uderza.

– Ty wariacie! O co z ojcem się kłócisz? No to co, że parę drzew utną? A źródło nie jedno, pełno ich wszędzie. Powściekali się wszyscy czy jak? Ten biskup też... a niech go zauroczy! Słuchaj, mówiłam z nim. Na nic się nie godzi. Ale ty ustąp, pamiętaj, mądry ustępuje. W sercu swoje myśl, a co zechce zrób.

– Walti, a pamiętasz, jak przy pierwszej schadzce o przeszłości ci mówiłem? Już wtedy wiedzieć powinnaś, z kim się zadajesz. Jestem strażnikiem historii.

– Strzeżesz tego, czego nie ma.

– Ona tam w wodzie się odbija. Widzę ją, gdy się schylę.

– Widzisz tylko swoją twarz piękną i bezduszną. Jesteś kukłą pełną fałszu i wielkich słów. Mały, maleńki człowieczek.

– Masz rację, Walti. Jestem mały człowieczek zakochany we własnej twarzy. Ale czy mały człowieczek nie może mieć wielkiej chwili?

– Jesteś potworny, podły! – krzyczy. – Wszyscy jesteście podli. Mówicie o ideach, wielkich chwilach, historii, bogach, a depreczecie cudze szczęście. Moje małe, ludzkie szczęście. Bo ty nim płacisz, tak, ty płacisz moim szczęściem za swoją wielką chwilę.

– Płacę przede wszystkim własnym życiem.

– Nie wolno ci teraz umierać!

Atesmerius wtrąca się.

– Wszystko już gotowe, uciekajmy.

Waltrauta przestaje płakać. Pyta:

– Uciekać? Kto ucieka?

– My! – Atesmerius mówi. – I ty, i Klaudiusz, i ja. Skoro nie chce dębów obalać, to niech ucieknie przynajmniej.

– A kto do Rzymu pojedzie? – pyta, jakby rozum się jej zmacił.

– Nie, Walti – mówię łagodnie - nie uciekniemy. A do Rzymu z Gontranem pojedziesz. On i dziecko przyjmie za swoje, i tym więcej kochać cię będzie. A teraz nie mówmy już o tym. Spocznij, proszę.

Widać mocno zmęczona. Bo jak dziecko unieść się pozwala. I na łożo, białe łożo położyć. Gdzie od jutra właśnie spać miała. Krew dziewicza nie skalalaby pościeli. Lecz dom panią prawowitą by zyskał. Teraz leży na wierzchu, w ubraniu. I oczyma mnie przeprowadza, gdy tak chodzę wkoło i na ukos.

Nielatwe godziny przede mną. Nawet nie wiem, czy wielkie. Czy ktoś, kto dziesięć nóg z pyłu oblizał, a jedenastej odmówił, jest wielki? Ktoś, kto zawsze uciekał, i wreszcie tchórzostwem wzgardził? Gdzie tu wielkość! Nędzę swoją ujrzałem, lepkie kłamstwo, układność, nikczemność uśmiechów i przyzwoleń. Nikczemność każdego „tak”. I nie chcę więcej. I nie będę służył.

Czuję, że to Nielatwe. I że Atesmerius z Waltrautą do ostatniej chwili nie uznają mego protestu. Za ręce, za szaty będą wstecz odciągali. Cóż począć? Inaczej nie mogę. Trupy niech w ziemi leżą, niech żywych nie udają.

Podchodzę do Waltrauty, muskam jej czoło. Ona chwyta moją dłoń i do ust przyciska. Wyswobadzam ją wolno i znowu odchodzę. Nie wiem, czy los istnieje. Nie wiem, czy to przypadek, czy rządzi nami porządek. Złe z dobrym chodzą pospołu. Oto jest życie. Ukochaj, co dobre, a co złe – odrzuć. I niechże to nie będzie martwa amor fati, z jednaką niezmiennością wszystko przyjmująca.

I lepsze były te miesiące złudzeń niżeli martwy czas, beczynn timer śpiący w zmurszałych brzegach. Trzeba umieć podjąć wyzwanie i grać. A jeśli przegrało się, odejść.

Znów ku ścianie podchodzę. Ale miecza nie biorę. Wytrwam, sędzę, do chwili ostatniej. Za to w lustro szerniałe spoglądam. A w nim tylko cienie rozmazane. Bryła głowy – lecz czyjej, któż powie? Bryzgi – światła – pochodnie, pożar czy wschód słońca? Zgrzybiała starość srebra.

Przejrzysta młodość wody, odwiecznej a młodzieńczej od początku czasów aż po ich schyłek i dalej. Ona powtórzy wiatrom ludzką potęgę.

W niej przetrwam ja i wszystko moje. Niech nie zmacona przechowa chwałę imperiów i woń narcyza. W niej czas, którego strzegłem, czas, który zaklinałem. Czym kwiat bez łądygi? Czym człowiek bez historii? I cóż, że kocham słońce lata. I że w tę noc zimową, kiedy płatki zasypują tysiące i tysiące mil, a wiatr pocznie w zaspach szeleścić, czuję każdą gorącą kroplę krwi. I całe ciało rozkazuje mi żyć. Ale to jasne źródło początku i końca, źródło pamiętania, źródło człowiecze jakże mógłbym zmącić? Jakże bym mógł?